Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 19 stycznia 1936 r. Nr. 3.



ULECIAŁY ZŁUDZENIA...

Uleciały złudzenia daleko w przestworza,
Zabierając nadzieję wraz ze sobą jasną —
W duszy cisza... Nie wabią ułudne rozdroża,
Lecz tak pusto... ciemno... zorze zwolna gasną...

Uleciały złudzenia. Żadne z nich nie wróci,
A jednak żyć długo mi jeszcze trzeba — —
Ciszy — już dźwięk radosny nigdy nie zakłóci
... Jałowa jest, bezplenna rezygnacji gleba.

DANUTA WYRYBKOWSKA.

MARJAN BRONISŁAWSKI

2)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

Wszystkiem byłem dla niej — piastunką, nianką, nawet towarzyszem niewinnych igraszek. Znajomi proponowali mi przyjęcie Haneczki na wychowanie, ale myśl tę z oburzeniem odrzuciłem. Za żadną cenę nie byłbym zgodził się na oddanie dziecka w obce ręce. A jednak... jednak przyszła chwila, kiedy musiałem opuścić to ukochane dziecię, zostawić je u obcych, a sam uciekać na kraj świata.

Winters słuchał, pogrążony w głębokiem milczeniu. Poznał, że osadnik z coraz większym trudem mówi, że opowiadaniem tem rozdziera dawno zasklepione rany serca. Umyślnie więc przerwał opowiadającemu.

— Dosyć na dzisiaj. Jutro dokończysz historji twego życia. Ale zapowiadam ci, że cokolwiek mi powiesz, nigdy nie uwierzę, żebyś ty był zdolny do morderstwa. Kto tak gorąco ukochał żonę i dziecko, nie potrafiłby mordować... Idź, spocznij, a jutro...

— Nie. Dziś wszystko ci powiem. Dawno czekałem na tę chwilę. Chcę, żebyś poznał cały ogrom mojego nieszczęścia.

Po dłuższej przerwie mówił dalej:

— W krótkich słowach powiem ci resztę. W kilka miesięcy po śmierci żony postanowiłem wyjechać z dzieckiem z New-Yorku, gdzie mieszkaliśmy. Miasto, w którem doznałem pięć lat najprawdziwszego szczęścia, zbyt wiele nasuwało mi bolesnych wspomnień. Miałem cokolwiek pieniędzy, wyjazd mój więc nie przedstawiał żadnych trudności. Kilkaset dolarów miałem w domu, a resztę mych zasobów, dwa tysiące, u przyjaciela. Pożyczyłem mu na otwarcie szynkowni w portowej dzielnicy New Yorku. Chcąc jak najprędzej wyjechać, poprosiłem go, żeby postarał się o spłacenie swego długu, na który miałem pisemne jego zobowiązanie.

— Zdziwił się, że tak nagle zażądałem zwrotu pieniędzy, ale przyobiecał mi oddać dług w przeciągu tygodnia. W oznaczonym dniu, późnym wieczorem poszedłem do niego po pieniądze. Nie miał czasu odrazu załatwić interes ze mną, gdyż była to sobota i o tej porze miał pełno gości w swym „salonie". Poprosił mnie, żebym poczekał aż się goście rozejdą. Usiadłem przy stoliku i kazawszy podać sobie szklankę piwa, czekałem, myśląc o zostawionej w domu Haneczce.

— Zbliżała się już pora zamknięcia szynku, gdy wszedł człowiek, z którym przed kilku laty miałem bardzo przykre zajście. Człowiek ten mieszkał w swoim czasie u nas i jak się okazało, był to jeden z tych „ptaków niebieskich", co to nie sieją, ni orzą, a żyją wesoło i dostatnio. Wynajmował u nas pokoik w czasie, kiedy rozpoczynaliśmy z żoną własne gospodarstwo.

— Nie wiedzieliśmy wówczas, że to człowiek zły i przewrotny, a przytem pijak i awanturnik. W domu zachowywał się spokojnie, a że komorne płacił regularnie — nie wchodziłem w szczegóły jego życia. Zapytany raz przeze mnie, gdzie pracuje, odpowiedział, że ma nocną zmianę w jakiejś fabryce. Rzeczywiście cały dzień siedział lub spał w domu, a wieczorem dopiero wychodził.

— Pewnego razu, gdy przyszedłem do domu, żona poskarżyła mi się, że lokator podczas mojej nieobecności molestuje ją swemi zalecankami. Natychmiast poszedłem do niego i kazałem mu się wynosić. Tłumaczył się zrazu, że to były tylko niewinne żarty, ale musiałem uwierzyć żonie, która ze łzami w oczach mi opowiadała, że Gerber, tak się bowiem nazywał, był tak natarczywy, że musiała zamykać się przed nim. Ostatecznie wyprowadził się, ale dopiero wtedy, gdy zagroziłem mu policją. Od tego czasu miałem w nim wroga.

— Otóż ten Gerber wszedł do szynku. Był już dobrze podchmielony. Spostrzegłszy mnie, przysiadł się do stolika i jakgdyby nigdy nic między nami nie zaszło rozpoczął rozmowę. Niechętnie mu odpowiadałem, gdyż człowiek ten budził we mnie wstręt i obawę. On jednak nie zważał na to. Zawołał gospodarza i kazał podać butelkę wódki i kieliszki. Chciałem odejść od stolika, ale przytrzymał mnie i nalewając kieliszki rzekł: „No, nie uciekaj. Napijemy się razem z naszym poczciwym Michałem." Michał był to właśnie mój dłużnik i właściciel szynku. Gerber musiał być w dobrych stosunkach z nim, gdyż odzywał się do niego po imieniu bardzo poufale.

— Wymawiałem się jak mogłem, ale nic nie pomagało. Uparty, jak każdy pijany, zmusił mnie prawie do wypicia potężnego kielicha mocnej wódki. Ustąpiłem, nie chcąc wywołać awantury. Nigdy przedtem nie pijałem nic mocniejszego od piwa i mocny trunek oszołomił mnie zupełnie.

— Powoli straciłem świadomość tego, co działo się dokoła mnie. Wiem tylko, że wszyscy goście już powychodzili i w szynkowni zostaliśmy tylko we trzech z gospodarzem.

— Michał przysiadł się do stolika po zamknięciu frontowych drzwi. Widziałem, że wyjął z kieszeni zwitek banknotów i wręczył je Gerberowi, a w zamian otrzymał jakiś papier, który podarł na drobne kawałeczki i wrzucił je do pieca. Następnie zwrócił się do mnie ze słowami: „Dziś spłacam wszystkie moje długi, zaraz i ty dostaniesz swoje dwa tysiące." Trącili się szklaneczkami i mnie znów podsunęli kieliszek płynu. „Wypij z nami" rzekł Michał, podając mi wódkę. „Nic ci nie będzie, a interes przecie należy oblać." Na nieszczęście dałem się namówić i połknąłem spory łyk. Byłem na pół pijany.

— Wtedy gospodarz podszedł do kasy stojącej za bufetem i otworzył ją szeroko. Na środkowej półce stała spora stalowa kasetka, a na niej leżał błyszczący rewolwer. „Ładna pukawka" — rzekł Michał, kładąc rewolwer na bufecie. „Na noc zawsze trzymam ją pod poduszką, bo nie trudno tu o napaść."



Na skutek ataku serca zmarł w 39 roku życia, znany aktor filmowy, słynący z męskiej urody, John Gilbert.

— Wyjąwszy z kasetki paczkę papierowych pieniędzy, usiadł znów przy stoliku. Tymczasem Gerber zaczął po pijanemu mówić coś o kobietach. Nie pamiętam jego słów, bo byłem zamroczony wódką. Nie zwracałem zresztą uwagi na paplaninę pijaka, gdy ten wyraził się o mojej zmarłej żonie tak ohydnie, że krew we mnie zawrzała. W tej chwili gospodarz wyszedł po coś do kuchni, znajdującej się w tylnej części szynku.

— Zerwałem się z miejsca i w gwałtownych słowach zakazałem Gerberowi mówić o zmarłej. Uśmiechnął się głupkowato i patrząc na mnie krwią zaszłemi oczyma zaczął przechwalać się, że był kochankiem mojej żony...

Winters słuchał z zapartym oddechem. Osadnik przerwał opowiadanie na chwilę, jakby zbierał bolesne wspomnienia. Po krótkiem milczeniu mówił dalej:

— Wiedziałem, że kłamie... Chwyciłem go za ramię i potrząsając nim, krzyknąłem w uniesieniu: „Łżesz, łotrze, łżesz, jak ostatni podlec!"

— Wówczas człowiek ten rzucił się na mnie i kilkoma uderzeniami pięści powalił mnie na podłogę... Zerwałem się zalany krwią i oszalały z bólu, chwyciłem leżący na bufecie rewolwer i nie mierząc, strzeliłem...

— Ujrzałem, jak zwalił się z jękiem na ziemię. Z piersi jego buchnął strumień krwi...

— Skamieniałem z przerażenia. Osunąłem się na krzesło, trzymając dymiący jeszcze rewolwer w ręku. W tej chwili wbiegł gospodarz. Słyszał huk wystrzału...

— Ukazałem leżącego. „Zabiłem człowieka" — rzekłem złamanym głosem. Trzeźwy już byłem zupełnie.

— Michał podskoczył do Gerbera i pochylił się nad nim. Leżał na wznak bez ruchu. Oczy miał zamknięte i szeroko otworzone usta. Z kieszeni rozpiętej marynarki widniała do połowy wysunięta paczka banknotów.

— „Morderstwo w moim domu!" — zawołał gospodarz, stając przede mną. Chwilę myślał, jakby nie wiedząc co powiedzieć. Szybko się jednak zorjentował.

— „Uciekaj! Skryj się!“ — krzyknął. „Uciekaj, zanim policja tu przyjdzie! Idź do portu i tam się ukryj... Musisz zniknąć, bo inaczej czeka cię tu krzesło elektryczne!“

Cała groza położenia stanęła mi przed oczami. Zabiłem człowieka... Muszę uciekać... Przyszła mi na myśl Haneczka.

— A dziecko moje... co z niem będzie? — spytałem ze łzami.

— Dzieckiem ja się zaopiekuję. A ty uciekaj, na miły Bóg uciekaj, póki nie będzie zapóźno. Idź do portu i czekaj na mnie w pobliżu przystani okrętów brazylijskich... Wiesz gdzie ta przystań. Ja tam przyjdę i rozmówimy się co do dziecka.

Tylnemi drzwiami wyszedłem z szynkowni i przekradając się bocznemi uliczkami doszedłem do najbliższego przystanku tramwajowego. Zamiast iść do portu, pojechałem do domu, aby ostatni raz spojrzeć na Haneczkę moją... Łzami oblałem twarzyczkę śpiącego dziecka i porwawszy naprędce kilka ubrań, fotografje żony i Hanki, wpakowałem wszystko do walizki, zabrałem pieniądze jakie miałem w domu i wyszedłem... Straszna to była chwila...

— W porcie z drżeniem serca czekałem na Michała. Przyszedł niebawem i w niewielu słowach powiedział mi, że policja już poszukuje mordercy Gerbera.

— Przecież ja nie chciałem go zabić — wyjęknąłem. — Strzeliłem we własnej obronie...

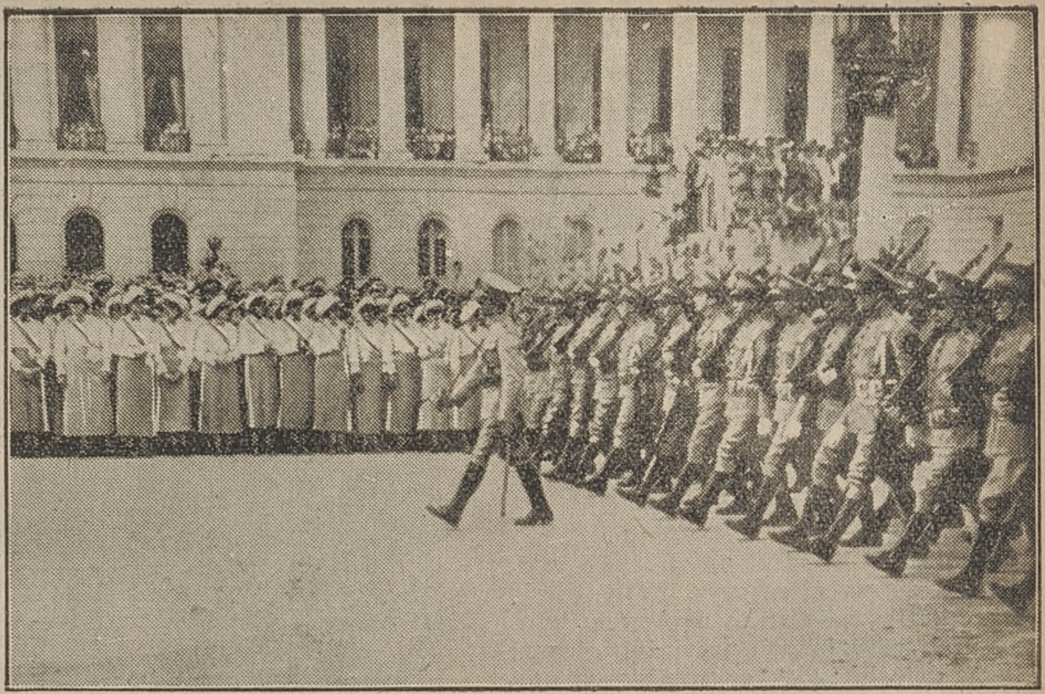
— Tak — odparł — ale gdzież są świadkowie na to? Jedynym ratunkiem dla ciebie jest ucieczka do Ameryki Południowej... Idź i bądź spokojny o los dziecka. Dziś jeszcze zabierze Haneczkę moja żona i zastąpimy jej rodziców...

— Oddałem Michałowi jego skrypt dłużny na dwa tysiące dolarów i poprosiłem, aby pokrywał z tych pieniędzy koszty wychowania. Pożegnał mnie zapewnieniem, że gdybym nawet grosza nie zostawił, sierotka moja znalazłaby w nim i jego żonie nietylko opiekunów, ale prawdziwych rodziców.

— Tej samej jeszcze nocy zakradłem się na pokład statku, który właśnie miał odpłynąć do Ameryki Południowej. Ukryłem się wśród pak z jakiemiś towarami i przez trzy dni nikt z załogi mnie nie zauważył. Dopiero w czwartym dniu podróży znaleziono mnie napół żywego z głodu i wycieńczenia. Widocznie wyjechali z New Yorku nie słysząc jeszcze o morderstwie, bo kapitan, stary Portugalczyk, skrzyczał mnie tylko, ale nie dopytywał się dlaczego ukryłem się na okręcie. Podobne wypadki zdarzały się widocznie często i nikt nie dziwił się zbytnio „pasażerom na gapę“.

— Kapitan spytał mnie, czy chcę zapłacić za przejazd pracą na okręcie. Z radością odpowiedziałem, że gotów jestem podjąć się choćby najcięższej roboty. Dali mi jeść, łóżko dostałem w ogólnej sypialni robotników okrętowych i jako palacz okrętowy przebyłem drogę do Rio de Janeiro, gdzie okręt potajemnie opuściłem.

Pieniądze, które miałem, wystarczyły mi do nabycia niezbędnych rzeczy, jak wozu i mułów, kilku sprzętów domowych, namiotu, nasiona, kilkunastu książek i zapasu pożywienia. Nikt mnie nie pytał skąd przybyłem lub dokąd się udaję. Wyjechałem z Rio de Janeiro i po długiej wędrówce przez stepy i puszcze przybyłem na to miejsce tak bardzo oddalone od świata cywilizowanego i w ukryciu lat piętnaście już tu siedzę.



Na Kubie utworzono wojskowy oddział honorowy, składający się wyłącznie z kobiet. Na zdjęciu widzimy tę gwardję kobiecą, tworzącą szpaler podczas defilady armji kubańskiej w Hawanie.

— I nie próbowałeś dowiedzieć się o dziecku? Nie pisałeś do owego Michała? — zapytał Winters.

— Nie. Wiem, że gdyby policja newyorska wpadła na mój trop, potrafiliby i stąd mnie wyciągnąć. A żyć pragnę, bo mam przecież nadzieję, że może kiedyś ujrzę jeszcze to biedne dziecię, któremu okrutny los odebrał matkę i ojca.

Winters zamyślił się głęboko. Przeszedł się kilka razy do palisady i zpowrotem i stanąwszy przed osadnikiem, rzekł:

— A jednak, zdaje mi się, że źle zrobiłeś uciekając. Z tego co mi powiedziałeś przypuszczam, że ten Michał najwidoczniej miał jakiś interes w wyprawieniu cię z kraju. Sam mówisz, że strzelałeś we własnej obronie i do tego w stanie oszołomienia alkoholem...

— Tak. Ale czyż miałem na to świadków? Michał nie był obecny przy strzelaniu i nie mógłby świadczyć, że byłem sprowokowany i strzeliłem we własnej obronie. Sam mi to mówił...

— Gdybyś jednak zamiast kryć się i uciekać, dobrowolnie oddał się w ręce policji, wątpię, żeby czyn twój uznano za morderstwo śmiercią karalne. Nie znam tego Michała, ale coś mi mówi, że to człowiek zły i przewrotny, który miał cel jakiś w wyprawieniu cię z kraju. Bardzo być może, że chciał pozbyć się wierzyciela... Wszak był ci winien dwa tysiące dolarów ,a to w każdym razie suma znaczna. Jedź, bracie, ze mną do Stanów. Pod przybranem nazwiskiem będziesz mógł ujrzeć twoją córkę i przekonać się, jakim opiekunem jest dla niej ów Michał. Jestem pewny, że przy pomocy dobrego adwokata zdołasz oczyścić się z zarzutu morderstwa i przekonać sąd, że działałeś w obronie własnego życia.

— Nie, bracie. Ja jeszcze nie wrócę, choć serce rwie mi się do mojej Haneczki. Ale niebu dziękuję, że zesłało mi ciebie. Ty pojedziesz do New Yorku i zawieziesz Haneczce list ode mnie i to, co przez piętnaście lat dla niej uzbierałem. Chodź ze mną do domu. Pokażę ci posag mojej córki.

Pociągnął za sobą Wintersa i weszli razem do izby. Osadnik wyjął ze skrytki w podłodze woreczek płócienny i pokazując go Wintersowi rzekł:

— Niewielka to paczuszka, ale wartość ma ogromną. Patrz, co znalazłem w górach Moutanjit!

Rozwiązał sznurek i wysypał na stół zawartość woreczka.

— Widzisz? Topazy, ametysty, szafiry i kilkanaście szmaragdów. Nawet rubinów sporo znajdziesz w tej kupce kamyków. Znam się na tem, niechże i wiem, że wartość tych kamieni nieoszlifowanych przechodzi sto tysięcy dolarów. Może nawet znacznie więcej. Nie mam wagi i dokładnie wartości ich oznaczyć nie mogę.

Winters osłupiał na widok takiego skarbu rozsypanego na stole.

— Połowa z tego dla ciebie — rzekł osadnik. — Drugą oddasz Haneczce. Wraz z listem od ojca. Wystarczy jej i tobie. A wzamian poproszę cię, żebyś dokładnie zbadał, jakim opiekunem jest dla niej Michał... Słowa twoje zaniepokoiły mnie. Dreszcz mnie przejmuje na myśl, że ona, moja córka, w rękach złych ludzi się znajduje. A gdy przybędziesz do New Yorku, dowiesz się, czy poszukiwany od lat przeszło piętnastu za zabicie Gerbera Władysław Burski, Walter Burki, jak mnie Amerykanie nazywali, może wrócić bez narażenia się na śmierć w krześle elektrycznem.

Rozdzielił na dwie połowy kupkę kamieni i wskazując je Wintersowi, mówił dalej:

— Wybierz jedną część dla siebie. Łatwo potrafisz sprzedać te kamienie w Stanach. Zapewnisz spokojny los swej rodzinie...

Winters zgarnął kamyki zpowrotem na jedną kupkę i odparł spokojnie:

— Chcesz mi płacić za to, czego jeszcze nie zrobiłem. Powierzasz mi majątek cały i chcesz, żebym przyjął połowę jego dla siebie. A czemże zapłacę ci za to co dla mnie uczyniłeś? Czem zapłaci ci moja Mary, że uratowałeś jej męża? czem dziecko, moje, że wyrwałeś ojca ze szponów śmierci? Wezmę te kamienie i oddam je twej córce, a część ich przeznaczę na wydatki w twojej sprawie. Pójdę, bo widzę, że dla twojego dobra iść powinienem. Ale wynagrodzenia żadnego od ciebie nie przyjmę, bo i tak dłużnikiem twoim na zawsze zostanę.

Burski podał mu przez stół rękę. Spojrzeli sobie w oczy. Zrozumieli się doskonale.

— Dobrze — rzekł po chwili Burski, udając, że przeciera oczy. Wstydził się łez, które gwałtem mu napływały.

Anioł prawdziwej przyjaźni otoczył tych dwóch ludzi swemi skrzydłami i spokój spłynął zupełny na ich dusze. Uczuli, że zostali przyjaciółmi na śmierć i życie.

Długo w noc rozmawiali jeszcze i snuli plany na przyszłość. Winters próbował wszelkiemi sposobami namawiać Burskiego, żeby razem z nim wybrał się zpowrotem do Stanów, ale osadnik stanowczo sprzeciwiał się temu i oświadczył, że powróci dopiero wtedy, gdy Winters dostarczy mu wiadomości o Haneczce.

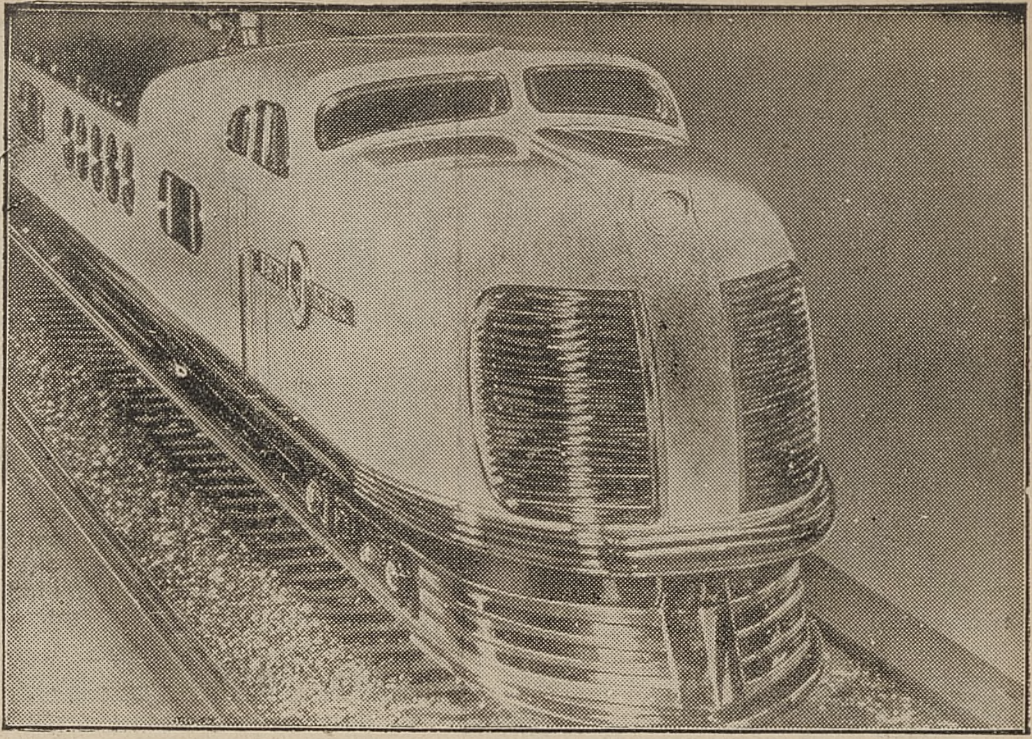
— Na razie — rzekł — musimy pomyśleć o umożliwieniu powrotu tobie, mój przyjacielu. Nie łatwa to przeprawa i dobrze musisz się przygotować do podróży do najbliższego portu. Przedewszystkiem musimy postarać się o konia albo muła, bo przecież nie przedostaniesz się przez puszcze piechotą. Ubranie dla ciebie i strzelbina znajdzie się u mnie, ale po szkapę trzeba będzie udać się gdzieś między ludzi. Mam tu kilkanaście brazylijskich milrejsów, może uda się sprzedać kilka skór, to i wystarczy na kupno jakiego czworonoga.

Jakoż zaraz na drugi dzień Burski zostawił dom pod opieką Wintersa i zabrawszy z sobą pożywienie na kilka dni, puścił się w stronę najbliższej osady. Trudna to była i niebezpieczna podróż przez dzikie wertepy i puszcze, ale myśl, że może za kilka miesięcy dowie się o losach córki, dodawała Burskiemu sił i otuchy.

Po dziesięciu dniach uciążliwego marszu dotarł do osady, zamieszkanej przez kilka rodzin białych kolonistów, gdzie sprzedał przyniesione skóry górskich niedźwiedzi i dodawszy do uzyskanej sumy brazylijskie milrejsy, otrzymał niedużego, ale silnego konia, zaprawionego do podróży przez bezdroża. Powrotną drogę odbył wygodniej i szybciej i po dwóch tygodniach od chwili wyruszenia z domu powitał oczekującego nań Wintersa.

Nie długo trwały dalsze przygotowania. Jakkolwiek Burski z żalem myślał o odjeździe przyjaciela, sam naglił do podróży.

— Jedź, bracie — mówił — i staraj się jak najprędzej zawiadomić mnie o



Na 1000-kilometrowej trasie Chicago—Denver uruchomiono lokomotywy o linji aerodynamicznej, jak to widzimy na naszem zdjęciu. Lokomotywy te jadą z szybkością 100 klm. na godzinę.

wszystkiem. Tyle lat przeżyłem tu w samotności, to jeszcze choćby i rok cały przeżyję. Spodziewam się jednak, że wcześniej zastanę list od ciebie w San Sebastiano. Za cztery miesiące pójdę tam i dowiem się. A potem to już co miesiąc będę tam zajeżdżał, bo przy pierwszej bytności muszę postarać się o kuca dla siebie. Skór mam dosyć, to i pieniądze na konia znajdą się u tamtejszych kupców.

Nadszedł wreszcie dzień pożegnania. Uwiązany do palisady stał koń Wintersa obładowany kilkoma skórami dzikich zwierząt, sporym zapasem wędzonego mięsa, małym namiotem i niezbędnemi naczyniami do gotowania. Podróż do portu była długa, i mogła trwać około dziesięciu tygodni, więc Winters musiał mieć przy sobie wszystko potrzebne do urządzania postojów i przygotowywania pożywienia. Miał więc w jukach woreczek fasoli, zapas listków „hervy", trochę soli, blaszankę miodu, mającego zastępować cukier do herbaty, a raczej do odwaru z hervy, patelnię i kilka garnków.

Dwa pasy z ładunkami do strzelby miał skrzyżowane na piersi, a na gołem ciele opasywał go płócienny trzos, w którym zaszyte były pojedyńczo drogie kamienie, powierzone mu przez Burskiego. Nikt by nie przypuszczał, patrząc na Wintersa ubranego w dobrze przyniszczony kubrak skórzany i wyszarzałe pantalony, że ten człowiek ma przy sobie skarb, wartości wielu dziesiątek tysięcy dolarów.

Wyglądał zdrowo i czerstwo. Jedynym śladem przebytej choroby i ran była wąska szrama na jego twarzy, pochodząca od cięcia nożem podczas napadu bandytów.

Wyszli obydwaj przed palisadę. Twarze ich były poważne i spokojne. Tylko w oczach Burskiego odbijał się wyraz smutku i gwałtem wstrzymywanego rozrzewnienia. Na myśl, że za chwilę znów zostanie sam, ogarniała go szalona tęsknota, ale tłumił ją wysiłkiem woli i udawał, że rozstanie z Wintersem lekko mu przychodzi.

Winters był człowiekiem doświadczonym i z sercem. Żal mu było Burskiego, ale zdawał sobie sprawę, że im prędzej pójdzie i dostanie się do Stanów Zjednoczonych, tem wcześniej jego wybawca dostanie wiadomości o córce. Gotów zupełnie do drogi podał osadnikowi rękę, którą ten serdecznie uścisnął, i rzekł swobodnie:

— No, czas na mnie. Nie jesteśmy staremi babami, żeby urządzać sceny pożegnania z wzdychaniem i łzami. Jadę, bo tego wymaga moje jak i twoje dobro. W każdym razie możesz mieć pewność, że niedługo dostaniesz wiadomość ode mnie. Kamyki zaś oddam do rąk twej córki razem z listem. Bądź zdrów, bracie, i zostawaj z Bogiem! A nie trać nadziei i nie poddawaj się smutnym myślom, bo wszystko jeszcze dobrze się ułoży.

Wsiadł na konia i nie czekając na odpowiedź Burskiego ruszył w stronę puszczy.

Długo stał samotnik przed palisadą i patrzył w stronę, dokąd Winters odjechał. Coraz silniejsze wzruszenie go ogarniało i tęsknota coraz więcej mu ciążyła. A gdy wszedł do domu, siadł na fotelu nawprost wiszących na ścianie fotografij i kilka godzin przetrwał na rozmyślaniu i wspomnieniach. Rozpamiętywał słowa Wintersa i wierzył, że ten człowiek uczyni wszystko, aby umożliwić mu powrót do ukochanej córki.

Następny ranek zastał go spokojnym i pogodzonym z samotnością.

I rozpoczęły się dla samotnego osadnika długie dni wyczekiwania, ale dniom tym przyświecała nadzieja powrotu do Haneczki.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Zemsta Cyganki

POWIEŚĆ

Baronowa staje na progu a za nią Marta. Baron ruchem powolnym schyla się do stóp dziewczyny i składa na nich pocałunek. Rozpaczliwy okrzyk rozlega się od drzwi. Baronowa podbiega do męża, szarpie go za ramię, woła:

— Coś zrobił ze Stefankiem? Gdzieś mi go zabrał?

Biega po pokoju, szuka dziecka. Rozrzuca poduszki, zagląda do szaf. Marta przerażona podbiega do Mścisławy i w oburzeniu podnosi na nią rękę, ale pod wzrokiem cyganki opuszcza ją i cofa się w panicznym przestrachu.

Mścisława puszcza rękę barona i z okrutnym uśmiechem triumfu wychodzi z gabinetu.

Jest zadowoloną z siebie. Pomściła stokrotnie matkę! Odchodzi, by wrócić jeszcze raz, gdy wybije godzina dla nowego ciosu, jeszcze boleśniejszego. Wychodzi spokojna, radosna, dumna ze swej zemsty.

Idzie w świat na poszukiwanie drugiego krzywdziciela, swego ojca! Wie, gdzie go szukać, pewna jest powodzenia swego planu.

Baron po jej wyjściu podnosi się z klęczek z miną człowieka, budzącego się ze snu. Patrzy ze zdziwieniem na żonę, stojącą w zadumie, na płaczącą służącą, nie rozumiejąc, o co chodzi. Zbliża się do żony, ale ta odpycha go z dzikim okrzykiem:

— Ona tu była, Zoryna, i chciała zabrać mi dziecko!

Chwyta poduszkę z fotelu i tuli ją do siebie.

— Śpij, Stefanku, nie bój się, nie oddam cię nikomu, mama cię sama zaniesie do łóżeczka.

Kołysze poduszkę w ramionach i wychodzi z pokoju.

— — — — — — —

Cios, jaki spadł na Karola, gdy dowiedział się od lekarza, że żona jego postradała zmysły, i gdy służąca powiedziała mu, co było tego przyczyną, był tak wielki, że baron postarzał się o lat dziesięć, przygarbił się, posiwiał. Żonę zawiózł do domu obłąkanych, a sam zamknął się w zamku, ze wspomnieniami i pamiątkami po dziecku. Majątek zapisał swojemu siostrzeńcowi, Horacemu Erwigowi.

Przed paroma laty zaręczył się z Beatą Borowską. Smutne dzieciństwo w domu zubożałym, wpływ zacnej, rozumnej matki chroniły go od złego wpływu otoczenia. Nie widziano go nigdy w towarzystwie hulaków i utracjuszów. Nigdy nie spotykano go również przy zielonym stoliku.

Był miły, uprzejmy, uczynny dla kolegów, ugrzeczniony dla kobiet, ale trzymał się od nich z daleka. Wolne chwile spędzał z narzeczoną, albo z matką. Śmiano się z niego w pułku. Docinano mu, ale on nie zrażał się tem.

Przyszłe dziedzictwo nie oszołomiło go. Ucieszył się serdecznie, ze względu na Beatę, gdyż bolała go nierówność majątkowa, jaka istniała między nimi. Bał się posądzenia, że w jego miłości ku Beacie przedewszystkiem jej magnacka fortuna odegrała większą rolę.

ROZDZIAŁ VIII.

Szlakiem zemsty.

Salony hrabiów Gronowskich modne były przed laty. Ale stopniowo w miarę, jak topniały miljony, magnackiej fortuny, nadwyrężanej przez utracjuszostwo hr. Gronowskiego, namiętnego karciarza, opustoszały salony, mało kto w nich bywał, wreszcie przestano je zupełnie odwiedzać. Poszli w zapomnienie ich właściciele. Nikt nawet nie spostrzegł, jak usunął się ze świata hrabia Gronowski. Nie interesowano się zupełnie losem jego żony.

Aż nagle ożyło ciche od dawna mieszkanie hrabiny Gronowskiej. W dniach przyjęć było znowu gwarno i rojno. Brzęczały ostrogi, szeleściły jedwabne stroje damskie, rozbrzmiewał gwar głosów męskich, słychać było srebrne głosiki pań i panienek. Hrabina odżyła, poweselała, przeżywała po raz wtóry swą młodość, kiedy to za życia męża, w pierwszych latach po ślubie, bawiono się u niej wesoło. I znowu, jak dawniej, rzucała pieniędzmi, przyjęcia jej odzyskały swą dawną świetność i przyciągały tłumy znajomych, stały się ośrodkiem życia towarzyskiego.

Główną atrakcją tych przyjęć stanowiła piękna Karina Royola, siostrzenica hrabiny, Hiszpanka z pochodzenia, wychowana w Polsce. Śliczna ta dziewczyna o czarnych, niepokojących oczach, nadzwyczaj elegancko ubrana, była nieczuła na zaloty młodzieńców, obojętna na krytyczne uwagi i spojrzenia starszych pań i zazdrosnych matek, córek na wydaniu.

Była uprzejmą, grzeczną, ale uprzejmość ta była nacechowana niezwykłą dumą, niepozwalającą na poufałość.

Była dopiero godzina czwarta, ale dzień był jesienny, ponury i ciemny. Zapalono więc światła, rozpalono ogień w kominkach, w salonach zapanowała miła atmosfera ciepła. W salonach było jeszcze pusto. Tylko Karina w skromnej, jasnej sukience siedzi przy pianinie i gra.

Lokaj podnosi portjerę i wpuszcza do pokoju Horacego Erwiga, który na widok młodej panny cofa się zmieszany, Karina uśmiecha się do niego i mówi:

— Ciocia zaraz nadejdzie.

Horacy uśmiecha się radośnie i z wyciągniętą dłonią zbliża się do dziewczyny.

— Ah, to pani jest tą siostrzenicą hrabiny Gronowskiej, o której całe miasto mówi.

Przedstawił się:

— Jestem Erwig Horacy.

Karinie podoba się ten przystojny ułan o oczach lazurowych, o szczerem i ciepłem spojrzeniu. Jest to pierwszy mężczyzna, który wzbudził w niej zainteresowanie.

Uśmiecha się więc do niego i podając swą dłoń, pyta:

— Czy pan jest krewnym barona Karola?

— Tak.

Młoda panna wywarła na Horacym wielkie wrażenie. Zwierza się jej więc szczerze, że jest nietylko krewnym, ale i spadkobiercą barona Erwiga. Opowiada jej o strasznej tragedji rodziny Erwigów, o tem, jak baronowa dostała obłąkania zmysłów po strasznej śmierci jej jedynaka.

Karina słuchając go zamyśliła się. Oczy jej stają się niezwykle duże i ponure, twarz przybiera wyraz zaciętości.

Horacego uderza ta zmiana wyrazu twarzy i wywołuje pewien niepokój. Nie może powstrzymać się od słów:

— Jakie pani ma dziwne oczy.

Dziewczyna otrząsa się z zadumy. Twarz jej przybiera zwykły, spokojny wyraz, oczy łagodnieją, stają się nawet zalotne. Przechyla filuternie główkę i zapytuje:

— Nie podobają się panu moje oczy?

Horacjusz porusza się na krześle. Na twarzy jego maluje się szczery zachwyt:

— Oczy pani są śliczne, piękniejszych nie widziałem.

I mówi prawdę, gdyż oczy Kariny są naprawdę piękne — ciemne, przepastne, migotliwe, światło łamie się w nich tysiącem błysków, a jednocześnie są zimne, wyniosłe, o nieuchwytnym wyrazie.

Zjawia się pani domu, następują powitania, wymiana banalnych słów. Horacy tłumaczy się, że dotąd nie był u niej, gdyż bawił u wuja na zamku.

Hrabina udaje współczucie. Niezbyt przejęła się tą całą tragedją, gdyż mało znała barona i jego żonę.

Goście schodzą się grupami i wkrótce salon rozbrzmiewa gwarem śmiechów. Ostatni przychodzą hrabiostwo Czachowicze. Gdy lokaj wymienił ich nazwisko, Karina urwała w pół słowa rozmowę, którą prowadziła z młodym dyplomatą włoskim i skupiła się w sobie cała w oczekiwaniu.

Oczy jej twardym błyskiem uderzyły w twarz wchodzącego. Niewiele się zmienił od czasów znajomości z Zoryną. Wyglądał prawie tak, jak na fotografji, trochę poważniej tylko.

Wzrok ostry przeniosła na szczupłą, wiotką, prawie że dziewczęcą postać hrabiny, niewiele starszej od niej, o szafirowych oczach i nieśmiałem spojrzeniu. Karina uśmiechnęła się okrutnie.

Ten uśmiech szatański, przewijający się po ślicznych ustach o odcieniu bladego koralu, niemile dotknął Horacego, który nie spuszczał z oczu pięknej Hiszpanki.

Nie mógł zrozumieć, co się z nim działo. Urok tej oryginalnie pięknej dziewczyny palił go. Każde jej spojrzenie, ruch, uśmiech, zapadały głęboko w jego duszę, jako niepokojące, rozkoszne widziadło.

Gospodyni wita się serdecznie z przybyłymi, przedstawia swą siostrzenicę. Hrabia Czachowicz wita Karinę uprzejmie, patrzy na nią z natężeniem.

Ma wrażenie, że ją gdzieś widział, że nie jest mu obcą.

Karina wytrzymuje jego wzrok spokojnie. Lokaj przynosi herbatę, którą Karina podaje obecnym, poprosiwszy Horacego, by jej pomagał. Odbierając filiżankę z rąk Kariny, hrabia Czachowicz nie mógł się oprzeć nurtującej go ciekawości. Spogląda się na nią badawczo i mówi:

— Ja panią gdzieś widziałem...

Karina mruży na chwilę oczy, poczem otwiera je nagle szeroko i uśmiechając się zagadkowo, mówi:

— Ja hrabiego widzę po raz pierwszy.

Nie uspokajają go jednak te słowa, gdyż w duszy jego błąka się niejasne przeczucie, iż piękna ta Hiszpanka nie jest mu obcą, że jakieś wspólne przeżycia łączą ich ze sobą. Spogląda na jej twarz spokojną, zalotną. Stoi obok Horacego przy pianinie i rozmawia z nim wesoło. Hrabia Czachowicz gubi się w domysłach. Napróżno jednak sięga pamięcią w przeszłość, męczy się. Nie może jednak przywołać sobie w pamięci scen, w których występowała ta zagadkowa dziewczyna.

Gdy rozeszli się goście, Karina usiadła w miękkim fotelu przy kominku, na którym dogasał ogień i poczęła marzyć, jak młoda panienka, przed którą otwiera się życie.

Ciotka udała się do hrabiny Czernowej. Pragnęła, by jej syn ożenił się z bogatą jedynaczką hrabiostwa Czernych. Dziewczyna nie była ani ładną, ani nie odznaczała się wybitną inteligencją. Ot, była przeciętną panną na wydaniu. Jedynie nieprzeciętnym był jej posag, sięgający kilku miljonów złotych. To też dużo złotej młodzieży zabiegało o względy hrabianki Emilji, która jednak przychylniej odnosiła się tylko do syna hrabiny Gronowskiej. Henryk, pragnąc się pozbyć długów, nie mogąc dłużej znosić błyszczącej nędzy swej egzystencji, nie tracił czasu i oblegał fortecę wytrwale, nie dopuszczając innych współzawodników. I dziś był zaproszony z matką do hrabiów Czernych.

Dla Kariny wizyta ta w ścisłem kółku, w towarzystwie dwóch mam, ograniczonej, rozpieszczonej panny i banalnego łowcy posagowego, jakim był Henryk, była zbyt nudnem spędzeniem czasu. Wymówiła się od niej bólem głowy i pozostała sama ze swemi myślami i marzeniami.

Marzyła o Horacym. Zamknęła oczy, by wywołać jego wizję, przyszło jej na myśl, jakby to dobrze było mieć go przy sobie, tulić się do niego, być całowaną przez te cudne, męskie usta. Krew nabiegała jej do twarzy.

Wyciąga władczo ręce przed siebie: „Będziesz moim!"...

Nazajutrz przeżywała wspomnienia ubiegłego dnia. Przypomniał się jej hrabia Czachowicz. Postać jego rysuje jej się w myśli. Na jego wspomnienie twarz Kariny lodowacieje, przybiera wyraz zacięty, oczy ciemnieją i gorzeją złowrogim blaskiem.

Wypręża się w łóżku, jakby próbując swych sił fizycznych. Oczyma wzbija się w wywołaną przez siebie wizję.

Na zaciśniętych ustach wykwita uśmiech szatański, złośliwy tryumf, oczy żarzą się jakąś myślą i toną w przestrzeń niby nakaz królewski i rozkaz nieodwołalny.

— Przyjdziecie do mnie obydwaj.

Poranek spędziła z hrabiną w mieście na robieniu sprawunków, przeglądzie nowych modeli.

Około godziny czwartej starannie ubrana wyszła, kierując się w stronę parku. Po drodze spotkała idącego wolno, z miną znudzoną, Horacego. Ujrzawszy ją, rozpromienił się cały i prosił o pozwolenie towarzyszenia jej.

Karina zgodziła się chętnie, on uradowany przy spotkaniu opowiadał jej i czuł bezwiednie, że spotka ją tu właśnie. Dopiero zapadający mrok wypłoszył ich z parku. Karina pożegnała się z Horacym i pospieszyła w stronę dworca. Na pożegnanie rzuciła mu słowa:

— Zobaczymy się jutro, nieprawdaż?

Odkłonił się z radością. Pod urokiem tej czarodziejki zapomniał nawet, że jutro ma przyjechać jego narzeczona i że jego obowiązkiem jest pójść na jej spotkanie. I nagle uprzytomnił sobie, że miłość jego dla Beaty była nikłą i bladą wobec tego uczucia, jakiem zapłonął dla tej nowej dziewczyny, która stanęła na drodze jego życia.

Wracał do siebie pełen radosnych wspomnień i wrażeń.

Karina szła spokojna, opanowana. Spotkała hrabiego Czachowicza. Nie poznał jej narazie, mijał ją obojętnie.

Karina z udaną radością wyciągnęła do niego rękę, wołając z uroczym uśmiechem:

— Co za miłe spotkania mam dzisiaj! Dopiero co pożegnałam się z hrabią Horacym, a znowu pana spotykam.

Uścisnęła jego rękę serdecznie.

Poszedł z nią, pociągnięty jej uprzejmością. Poczuł się odrazu młodszym o jakieś lat dwadzieścia. Kochał swą żonę szczerze i głęboko, ale czyż istnieje na świecie mężczyzna, któryby się oparł czarowi tej pięknej dziewczyny?

Czachowicz rzucił żartobliwie:

— Pod urokiem pani spojrzenia gotów jestem zapomnieć, że mógłbym być ojcem pani.

Karina spojrzała na niego kokieteryjnie.

— Wolałabym, żeby pan był moim mężem, niż ojcem!

Hrabia spojrzał na nią z ukosa, chcąc z jej oblicza odgadnąć, co ma oznaczać jej kokieteryjne zachowanie. Ale niczego nie mógł wyczytać z jej spokojnej, pogodnej twarzy i rozweselonych oczu. Podrażniło go to nieco, odparł więc drwiąco:

— Nieświetnych ma pani dzisiaj przygodnych towarzyszy. Horacy — narzeczony i zakochany, ja zaś — stary i żonaty, nie możemy przedstawiać dla pani niczego interesującego.

Wspomnienie o Horacym, o jego narzeczonej — zabolało Karinę, ale po chwili opanowała się i znów zalotny uśmieszek ukazał się na jej ustach, i oczy zamigotały drażniącym błyskiem.

— A czy pan nie wie, że zakazany owoc z cudzego ogrodu lepiej smakuje?

Czachowicz zatrzymał się i spojrzawszy jej w twarz, zapytał poważnie:

— A czy pani naprawdę tak sądzi?

Twarz Kariny przybrała wyraz twardy, zimny.

— Serce nie zawsze jest posłuszne głosowi rozsądku — odrzekła w zamyśleniu.

Powiedziawszy to, jakby się zlękła swych słów. Spostrzegła, że stanęli przed domem, w którym mieszkała. Nie pożegnała się jednak z hrabią, poprosiła go na górę na herbatę.

Czachowicz, jakby wiedziony jakąś tajemną siłą poszedł za nią.

W salonie zastali Henryka Gronowskiego z matką. Oboje mieli miny uroczyste, lekko zakłopotane. Karina zrozumiała. Ze słodką miną zwróciła się do hrabiny, polecając jej swoją torebkę.

— Ciociu, zapomniałam ci oddać czterysta złotych, są w tym woreczku.

Oczy hrabiny zamigotały chciwością. Henrykowi mina poweselała. Pożegnał się uprzejmie i wyszedł z salonu. Po chwili wyszła i hrabina. Gdy drzwi zamknęły się za nimi, Karina roześmiała się i siadając obok hrabiego, cichym głosem wyjaśniła:

— Żadnych pieniędzy od ciotki nie otrzymałam, ale widząc ich miny ,domyśliłam się, że piękny Henio zgrał się znowu, jak zwykle, w karty. Chciałam się ich pozbyć z salonu, aby pozostać z panem sama.

Po tych słowach zerwała się nagle, poprawiła ogień na kominku i usiadła, już nie obok hrabiego, lecz na fotelu o parę kroków od Czachowicza. Wpatrzyła się w niego swemi przepastnemi źrenicami i zagadnęła go nagle:

— Czy hrabia wierzy w metapsychozę? Bo ja wierzę, jestem pewną, że kiedyś, przed tysiącem lat istoty należały do siebie.

Czachowicz na pytanie to nie dał odpowiedzi, ale w duszy jego zrodziło się przypuszczenie, że jednak dziewczyna ta ma rację, że kiedyś musieli się gdzieś spotkać. A ona mówiła dalej:

— Nie zauważył pan w życiu swem, że czasami osoba piękna wzbudza w nas niechęć i odrazę, gdy tymczasem inna, niepozorna — wywołuje wrażenie kogoś bardzo nam miłego?

I patrzała mu w oczy gorąco, namiętnie. A robiła przy tem minę naiwną, wprost dziecięcą.

Czachowicz rozpalał się pragnieniem pochwycenia w objęcia tej rozkosznej dziewczyny, przyparcia ustami do jej warg, przymknięcia pocałunkami przepięknych oczu. A Karina z miną poważną, jakby skupioną, ciągnęła wolno:

— Taki naprzykład Henryk Gronowski i ja. On jest młodym, dorodnym mężczyzną, ja również jestem młodą i przystojną, a mimo to znosić się nie możemy! Drażni go wprost moja obecność, mnie zaś działa on na nerwy. Nie widzi on we mnie kobiety, ani ja w nim mężczyzny. Działamy na siebie nawzajem odpychająco. Gdy tymczasem dla pana poczułam odrazu jakąś wielką gorącą sympatję.

Czachowicz nie mógł już dłużej panować nad sobą. Wstał z miejsca, podszedł do Kariny, nachylił się nad nią i przywarł gorącemi wargami do dłoni jej splecionych na kolanach. Z trudem udało się Karinie wyrwać je z jego gorących uścisków i szepnąć:

— Ciotka idzie!

Wyprostował się, zagryzł mocno wargi, poprawił spadające na czoło włosy.

Do salonu weszła hrabina Gronowska. Czachowicz pożegnał się i szybko wyszedł. Hrabina zwróciła się do Kariny ze słowami:

— Dziękuję ci, jesteś bardzo miła i dobra. Tak odrazu sama domyśliłaś się, że jesteśmy w ciężkich kłopotach pieniężnych. Henryk oświadczył się o Emilję i został przyjęty, ale narzeczeństwo wymagać będzie zwiększonych wydatków, na kwiaty, prezenty, bilety do teatru. Przyjechał do mnie taki rozradowany, a ja musiałam mu odmówić pieniędzy, gdyż nie miałam już nic. To, co otrzymałam od ciebie, wydaliśmy już.

Karina uśmiecha się życzliwie i ściska rękę strapionej kobiety.

— Pożyczę cioci z przyjemnością i większą sumę, gdyż jestem wam bardzo życzliwa.

Cieszę się, że Henrykowi tak dobrze życie się układa.

Hrabina przytuliła Karinę do siebie. Hiszpanka tym gestem wspaniałomyślnym zdobyła sobie całkowicie serce zaślepionej matki, a tak strapionej i niespokojnej o los jedynaka. Zapewniła sobie jej poparcie i jej wyrozumiałość.

* * *

Hrabia Czachowicz wróciwszy do domu, miał czas jedynie przebrać się do obiadu. Gdy wszedł do salonu, hrabina siedziała w fotelu, przeglądając najnowsze ilustracje.

Obrzucił wzrokiem jej zgrabną postać, która w nim dawniej budziła tyle namiętności i zachwytu. Dziś, żona jego wydała mu się sztywna, bez życia i bez wdzięku.

Porównywał ją w myśli z Kariną i serce jego wezbrało żalem, że to nie tamta tu siedzi, że nie z tamtą zasiędzie do obiadu.

Trucizna wsączona w duszę hrabiego przez namiętną Hiszpankę, działała...

Czachowicz nie zauważył zdziwionych spojrzeń żony, którą dotknęło jego zachowanie się. Zapomniał nawet przywitać się z nią, nie zapytał jak spędziła dzień.

W czasie obiadu hrabina przerwała nagle panujące przy stole milczenie i rzekła:

— Simon Pop był dzisiaj popołudniu.

Czekała, jak przyjmie tę wiadomość, lekko zarumieniona. Ale mąż powtórzył tylko bezmyślnie.

Tak? Był?

Zmarszczyła brwi rozgniewana, ale nie poruszała już więcej tego tematu.

— — — — — — — —

Przyjęcia u hrabiostwa Czernych uważane były za najelegantsze w całem mieście. Być zaproszonym do ich salonów, znaczyło dostąpić najwyższego zaszczytu.

Karina na wizytę tę ubierała się z niezwykłą starannością. Chciała olśnić wszystkich urodą. I rzeczywiście wyglądała nadzwyczaj ponętnie w bladoróżowej sukni, z drogocennemi perłami swej babki na szyi.

Gdy weszła na salę, oczy wszystkich kierowały się na nią pełne podziwu i zachwytu, ale ona obojętnie przebiegała wzrokiem twarze mężczyzn, szukając wśród nich tylko dwuch, pierwszego dostrzegła Horacego, który jakby niepewny usunął się na bok. Zwarły się ich oczy i powiedziały sobie dużo, a potem cofnęły się, odbiegły od siebie, by nie zwracać uwagi obcych osób.

Karinę otoczył rój czarnych fraków. Witała się uprzejmie, ale obojętnie, czekając na hrabiego Czachowicza. Ujrzała go nieco później, gdy wchodził z żoną. Zauważyła, że szukał kogoś wzrokiem. Schwyciła jego spojrzenie i przekonała się po błysku zadowolenia, że to ją właśnie szukały jego oczy.

Dotarli do siebie. Z hrabiną zamieniła lekki uścisk dłoni, rękę hrabiego przetrzymała dłużej, na co on odpowiedział mocnym uściskiem.

Karina wmieszała się w grono pań. Odnosiły się one do niej rozmaicie. Te, które życie spędziły na podróżach po świecie i spotykały różnego rodzaju osoby — lubiły ją i garnęły się do niej. Inne znowu panie, przeważnie starsze, patrzyły na Karinę niedowierzająco i podejrzliwie, gdyż była ona prawie że nieznaną w arystokratycznem towarzystwie.

Otoczona gronem młodych kobiet, słucha przez chwilę plotek towarzyskich, ale oczy jej błądzą po sali. W rogu pokoju, cokolwiek oddalonq od reszty towarzystwa ujrzała siedzącą hrabinę Czachowicz, rozmawiającą z młodym rumuńskim attaché wojskowym, Simonem Popem.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

ADRESY!

O adresy, celem przesłania listów, znajdujących się w redakcji, są proszeni: „Wiatrem podszyty" — „Smutny Edek" — „Śnieżyczka" — „Avery" — „Sarenka Czarnooka" — „Słodkie Serduszko" — „Młody Urzędnik" — „Młodziutka Ari" — „Iwonka" — „Sybilla" — „Sportsmenka" — „Wesołe Łobuzy" — „Smyk" — „Arabka" — „Czarne Oczko z Jarocina" — „Baśka z Kujaw" — „Halszka II." — „Wandzia — podlotek" — „Mała Filuś" — „Samotna Tuśka z Borów Tucholskich" — „Zapomniana Marguerita z Chełmna" — „Nieznany" — „Słoneczko" — „Pantuer".

TĘSKNOTA

Z cyklu: „Życie poety".

Siedzę samotny, zagłębiony w myślach,
Znów mnie opuszcza do życia ochota,
Radość kochania, jak sen nagle prysła,
W serce się wkradła okrutna tęsknota.

Dziś pozostały mi tylko wspomnienia
Dawnej miłości, która już nie wróci,
Przykro jest, gdy się rozwieją marzenia,
Lecz bardziej przykro, gdy kobieta rzuci...

Ból bezlitosny nerwy moje targa
I każe cierpieć, cierpieć nieustannie,
Wiem, że nikogo nie wzruszy ma skarga,
Nikt nie pocieszy mnie już, nie przygarnie...

Mieczysław Grzegorski.

NA KAŻDY LIST, SZYBKA ODPOWIEDŹ

„Hanusieńka I." W Twoim, bardzo długim liście, „Hanusieńko", uderza przedewszystkiem szlachetność i rozsądek. Wierzę, że Pani nigdy nie sprzeniewierzy się swoim dobrym zasadom, lecz zawsze ich będzie strzegła i według nich postępowała.

Pyta Pani, czy istnieją jeszcze naprawdę solidni mężczyźni? Oczywiście! Nie brak ich tak samo, jak nie brak wartościowych i dzielnych kobiet. Napewno Pani napotka kiedyś w życiu takiego dobrego człowieka i znajdzie konkretną odpowiedź na pytanie postawione mi w liście.

Przedstawia się nam Pani bardzo króciutko i to w słowach następujących:

„Nie jestem ani piękną, ani brzydką, ale za to szczerą i wesołą. Zapytuję także, czy nie zechciałby do mnie napisać: „Jastrząb z Borów Tucholskich" — „Wiatrem podszyty" — „Gladjator" lub „Gwidon". Zaznaczam, że nie wykluczam i innych. Na każdy list obiecuję solennie dać długą odpowiedź. Równocześnie zasyłam serdeczne pozdrowienia i uznanie za wierszyki: „Jadźce z Kujaw" — „Kalinie" — „Białej Uajali" i „Azie".

NIECH ZAPŁACZĄ

„Duśce" — poświęcam.

Niech zaszumią, niech zapłaczą
Wichry, co w dal mkną,
Nad mą dolą, nad tułaczą,
Dzikie wichry, niech zapłaczą
Nad złą dolą mą.

Niech zaszumią, niech zapłaczą,
Ciemne bory w dal,
Nad mą dolą, nad tułaczą,
Ciemne bory, niech zapłaczą,
Niech ukoją żal.

Niech i piosnka ma zapłacze,
Ta, co smutkiem drga,
Wszystka żałość i cierpienie
W mej piosence niechaj spłynie,
Każda gorzka łza.

„Iste Wenus".

POZDROWIENIA

„Leśna Rusałka". Dzięki serdeczne za pamięć i wzruszające życzenia świąteczne! Na zapowiedziany list oczekuję z tęsknotą.

Załączone do listu pozdrowienia dla: „Białej Uajali" — „Iste Wenus" — „Lilki — „Gladjatora" i „Ben - Alego" — przesyłam.

JESZCZE ŻYCZENIA NOWOROCZNE

„Lilka". Mój zewnętrzny rysopis w wyobraźni Pani stanowczo się nie udał, bo akurat posiadam innego koloru włosy i oczy, a także nie jestem wysoką. Myślę jednak, że teraz już napewno charakterystyka wypadnie trafniej i lepiej.

Za oryginalne, nie pozbawione humoru życzenia — ślicznie dziękuję. Odwzajemniam się nie mniej szczerze i serdecznie.

Dopisek w liście, na życzenie Pani chętnie zamieszczam:

„Wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom „Krainy" ślę wiele pozdrowień i życzę w Nowym Roku spełnienia wszelkich, chociażby najskrytszych marzeń, mniej frasunków, a więcej radości.

Specjalne życzenia przesyłam „Białej Uajali", milutkiej „Duśce" — „Uśmiechowi Lata" tajemniczej „Leśnej Rusałce" z zapytaniem, czy nie jest przypadkiem Tczewianką, dalej „Gwidonowi" z prośbą o miły uśmiech, „Marzycielowi z pod Gniezna" — „Puerowi" z zapytaniem o powód milczenia, „Largo" — „Sokołowi z Mazowsza" oraz „Romantykowi — Marzycielowi", którego proszę o skreślenie do mnie choć kilku słów.

POZDROWIENIA I PROŚBA O LIST

„Ezechela". Nie wątpię w to, że Święta Bożego Narodzenia spędziła Pani miło i wesoło, jednak pełnego zadowolenia napewno Pani nie osiągnęła, choćby z tego powodu, że w święta nie mieliśmy ani odrobinki śniegu, a jak Pani pisze, nie wyobraża sobie Bożego Drzewka bez śniegu. Jednak trudno! „Malum necessarium" — oto wszystko.

Pozdrowienia przeznaczone dla „Natana" — przekazuję, prosząc Go równocześnie w imieniu Pani o napisanie listu. Pozdrawiam również: „Ramzesa" — „Romantyka — Marzyciela" i Gwidona".

DO „KRAINY" ZAWITAŁ „PARYS", ALE NIE TEN Z TROI

„Parys II." Do „Krainy" zawitał „Parys". tylko nie ten z Troi, ale zagnany „za chlebem" na granicę polsko - niemiecką w cichą wieś pomorską, gdzie pędzi swój spokojny żywot. W liście swym do mnie pisze:

„Obracam się wśród lasów i pól z czego bardzo się cieszę, bo się zżyłem i pokochałem przyrodę. Jestem młodym brunetem. Bardzo lubię lekką muzykę, teatr oraz słuchać i opowiadać o przeżyciach lat szkolnych i okresu zdawania matury.

Która z Czytelniczek z podobnego środowiska, nie nudząca się życiem wiejskiem, napisze do mnie coś miłego?"

„FALA ETERU" NIE OTRZYMAŁA ŻADNEGO LISTU

„Fala eteru", to dawna „Ari", której pierwszy apel ukazał się w nr. 45 „Moich Powieści" z ub. roku. Pseudonim swój zmienia, ponieważ w „Krainie" oprócz Niej, jest jeszcze druga „Ari".

Dawna „Ari". a dzisiejsza „Fala eteru" skarży się, że nie otrzymała żadnego listu. Bardzo mi przykro, ale najważniejsze, że sytuacja nie jest bez wyjścia. Bo przecież Sympatycy „Krainy" postarają się wynagrodzić dotychczasowy zawód „Fali eteru" i napiszą do Niej parę słów, prawda?

CHĘTNIE ZAMIESZCZAM

„Nimfa". Mam nadzieję, że „Moje Powieści dostaną się Pani do rąk i w Rabce, przesyłam więc Pani serdeczne pozdrowienia i podziękowanie za życzenia świąteczne. Zakończenie listu Pani, chętnie zamieszczam:

„Dziękuję Ci, Kochana „Biała Uajali", za przysłane mi pozdrowienia. Odwzajemniam je w pełni, i donoszę Ci, że Twoje smutne wierszyki bardzo mi się podobają.

Drogi „Paziu" i „Kusząca Różyczko", dlaczego zapomniałyście o mnie? Milutkie pozdrowienia przesyła Wam „stara Cyganicha", którą dobrze znacie z „Bursztynów Kasi".

„Pellowi" życzę powodzenia w podchorążówce. „Blondynkowi w mundurze" przesyłam pozdrowienia i dziękuję mu za dotrzymanie przyrzeczenia."

PISZ DO MNIE Z CAŁEM ZAUFANIEM

„Cyganeczka". Mylisz się, Kochanie, pisząc, że mnie nie mogą obchodzić losy jakiejś nieznanej dziewczynki. Dlaczego? Jesteś przecież jedną z naszej wielkiej gromady — „Rodziny", chociaż sobie nieznanej, ale złączonej węzłami przyjaźni i sympatji. Ja jestem, jak to piszą i twierdzą moi Sympatycy, jakby opiekunką tej licznej gromady, więc nie mogę się nie zainteresować jej członkiniami i członkami. Wobec tego myślę, że będziesz „Cyganeczko" odtąd zwracała się do mnie z całem zaufaniem i z tą myślą, że zostaniesz zawsze zrozumianą.

Zakończenie listu Pani niżej zamieszczam:

„Dziękuję za pamięć „Brunetowi" i „Gwidonowi". „Te - Em" prosi, abym napisała do Niego pierwsza liścik? Nie, pierwsza się nie odezwę, pozostawiam to „Te - Em". Dużo serdeczności ślę moim „Siostrzyczkom" i „Braciszkom" z „Krainy".

TO NIE FRAZES, ALE PRAWDA

„Żołnierzyk z Grodu Lecha". W związku z ostatnim listem Pana, pytam dlaczego trudno zdobyć się Panu na silną wolę. Przecież to tylko od Pana zależy, aby być silnym? A może Pan nie próbował się zmierzyć z swojemi siłami?... „Nikt nie zna swoich sił, dopóki ich w potrzebie z siebie nie dobędzie." — powiedziała Eliza Orzeszkowa. Proszę mi wierzyć, że myśl ta nie jest bynajmniej frazesem, przeciwnie, w życiu ludzkiem posiada często głębokie uzasadnienie. O tem zresztą może się Pan sam przekonać, oczywiście, gdy zechce pracować nad osiągnięciem wewnętrznej równowagi.

Na zakończenie pozdrawiam w imieniu Pana „Nieszczęśliwą". Dalsza pamięć, ze strony Pana, będzie dla mnie bardzo miłą. Łączę wiele pozdrowień.

SERDECZNE POZDROWIENIA

„Niezapominajka z Pomorza" jest rodowitą Wielkopolanką, niespodziewane losy zaniosły ją tylko na dalekie Pomorze. Życzeniem Jej, to nawiązanie korespondencji z Wielkopolanmami, zwłaszcza z okolic Kościana. Serdeczne pozdrowienia śle: „Białej Uajali" — „Blance" — „Opuszczonej Owieczce" — „Leśnej Rusałce" „Wesołej Wandulce" — „Marzycielowi z pod Kościana" i p. Alfredowi Renertowi z Nowego miasta nad Drwęcą.

WYSŁAŁAM

„Mimoza I." Życzeniom Pani czynię zadość. Liścik wysłałam, pozdrowienia zamieszczam niżej:

„Hallo! Tutaj „Mimoza I." Zasyłam pozdrowienia: „Optymiście Sir" i „Gladjatorowi", którymi to Panami bardzo się zainteresowałam. Może jeden z nich, prześle mi kilka słów?

ZAPOMNIJ!

„Takie małe Coś z loczkami". Mój Jasny Promyku! Nie wiem, jak Ci podziękować za to wielkie zaufanie, jakiem mnie obdarzyłaś w swoim ostatnim liście, (tak zwierzać można się tylko komuś drogiemu i bliskiemu). Obrałaś mnie Kochanie, za powierniczkę swych myśli — dziękuję Ci — wierz mi, że postaram się pomóc Ci w wszelkich wątpliwościach.

W pierwszym rzędzie radzę Ci w wiadomej już sprawie, postąpić jak najbardziej rozsądnie i oględnie. To, co minęło, niech pozostanie dla Ciebie tylko wspomnieniem. Za wszelką cenę, póki jeszcze czas, postaraj się stłumić swoje uczucie. Pamiętaj, że beznadziejność w miłości czyni nieraz z człowieka bardzo nieszczęśliwą istotę, a oprócz tego, taka beznadziejność, mści się zawsze na każdym choćby najsilniejszym ustroju psychicznym. Nie marz więc i nie rób sobie żadnych nadziei na przyszłość. Bądź rozsądną, Malenka Marto, bo tak trzeba. Gdy Ci będzie bardzo smutno, pisz do mnie — wszystko, wszystko! Bądź pewną, że Cię zrozumiem i nie pozwolę długo czekać na odpowiedź.

Nieraz już pewnie przekonałaś się o tem, że życie ma wiele niespodzianek, takich dziwnych czasem... I Tyś jedną przeżyła ostatnio. Jedno chciałabym Ci tylko przypomnieć: z wszystkiego, co daje nam życie — zarówno ze złego, jak i z dobrego tworzymy sami sobie wartości. I dlatego, Droga Dziewczynko, najcenniejszy jest w życiu i najistotniejszy nasz stosunek do tego, co przeżywamy. Poznałam Cię z listów dość dobrze, więc przekonana jestem, że potrafisz z ostatniego Twego przeżycia zachować tylko to, co było najpiękniejsze, najbardziej wartościowe.

Zapomnij, póki czas. Wiem, że nie będzie to łatwe, ale musisz być dzielną! Gdy lekarz — chirurg ma dokonać zabiegu, która ma uratować życie chorego, lecz uczyni go kaleką, musi zdecydować w sobie wewnętrznie potrzebę takiego zabiegu, który albo zniekształci postać człowieka, albo odbierze mu dawną sprawność. I człowiek bardzo często staje w roli chirurga przed samym sobą. I człowiek decydować się musi na cięcie, które coś usuwa — by reszta mogła żyć. Co usunąć? Co ma pozostać przy życiu? — pewna jestem, że nietrudno Ci będzie teraz odpowiedzieć sobie na te pytania i konsekwentnie postąpić.

Ciekawa jestem, Kochanie, jak zareagujesz na moje serdeczne, życzliwe rady. Z największem zaciekawieniem oczekuję szczerego, długiego, jak ostatni, listu.

LISTY DO MNIE KIERUJCIE NA POSTE - RESTANTE

„Zosia 19 — 14" nadesłała mi następujący liścik:

„Może ktoś z „Krainy" zainteresuje się dziewczyną z nad morskiego wybrzeża, taką jakąś „inną", co kocha słonce, gwiazdy, księżyc, samotne spacery, wycieczki kajakiem i która tęskni za czemś nieznanem? Listy do mnie proszę kierować na poste — restante, Gdynia, dla: „Zosi 19 — 14".

Przesyłam szczere wyrazy uznania dla całego grona Sympatyków, zaś specjalne dla: „Rom — Mara" — „Giaura" — „Dumki" — „Ord - Oma" — „Largo" i „Marzyciela Orłowskiego".

NIE MIEJ NIGDY DO MNIE ŻALU...

„Mała Konwalijka". Kochanie, nie gniewaj się nigdy na mnie, chociaż nie zaraz Ci dam odpowiedź. Niech Ci wystarczy to, że Cię bardzo kocham i jestem zawsze jak najżyczliwiej do Ciebie usposobioną. Gdyby tylko ode mnie zależało szybkie dawanie odpowiedzi, nie zwlekałabym z nią nigdy, wierz mi, Droga Dziewczynko. Dawałabym ją zawsze jak najprędzej, jednakże muszę mieć względ na inne listy, które nieraz tak długo wyczekują cierpliwie na swoją kolej. Zrozum mnie więc „Mała Konwalijko" i nie miej do mnie nigdy żalu.

A teraz oddaję do przedruku część Twego liściku:

„Kochana „Dzinko"! przesyłam Ci pozdrowienia i uznanie za cudne wierszyki. „Smutnej Mirjam" — „Konwalji" — „Czarnej Dziewczynce" oraz wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom ślę jak najserdeczniejsze pozdrowienia."

Z NADZIEJĄ...

„Brunet". „Czy Pani jest wdową?" A niech Bóg broni! Jest to u mnie narazie zupełnie niemożliwe, proszę mi wierzyć.

A propos wróżb, muszą Pana zbesztać, nie rozumiem bowiem, jak może tak kulturalny człowiek jak Pan, nietylko kazać sobie wróżyć Cygance, ale jeszcze w jej wróżby wierzyć. Nie ona będzie wyrocznią przyszłości Pana, ale ktoś inny: Bóg, czas i przeznaczenie. Trzeba więc Panu czekać i w międzyczasie zapracować sobie na szczęście, a wszystko będzie dobrze.

Z nadzieją, że mych słów nie poczyta Pan za złośliwość, lecz za szczere, przyjacielskie uwagi, ślę Mu wiele serdecznych pozdrowień i uścisków dłoni.

KTO?

„Romantyczna Szatynka". „Jeżeli jest ktoś smutny i samotny, a chciałby nawiązać korespondencję, niech napisze do mnie. Odpowiedź zapewniona.

Jestem szatynką o zielonkawych oczach, średniego wzrostu i dość wesołem usposobieniu. Bardzo lubię smętne tanga. Czasem jest mi bardzo smutno, gdyż brak mi duszy życzliwej i oddanej.

Korzystając z okazji przesyłam pozdrowienia: „Złotemu Jabłku" — „Kmicicowi" — „Sympatycznemu Przyjacielowi" — „Wiatrem podszytemu" — „Puerowi" — „Gladjatorowi" — „Romantykowi — Marzycielowi" i „Marzycielowi z Czerniejewa".

Słowa powyższe to list „Romantycznej Szatynki". Kto z Sympatyków odpowie na niego serdecznemi słowami?

APEL Z POGRANICZA POLSKO - NIEMIECKIEGO

„Bola z nad granicy", jak pisze, mieszka z swoją Mamusią i Braciszkiem w zapadłej, niemieckiej wiosce, zdala od miasta. To też ni: raz chciałaby mieć skrzydła i pofrunąć daleko, do pięknych i więcej ożywionych okolic, jednakże praca na czas dłuższy przykuła ją do pogranicza.

Marzeniem Jej to znalezienie rozrywki w korespondencji. Kto więc pierwszy prześle sympatyczny liścik w dalekie strony, dla p. „Boli"?

UWAGA!

„Nieznany" ma list na poste — restante od „Ryśki D."

MAM NADZIEJĘ

„Karina". Do „Krainy" przyjmuję Panią bardzo chętnie, temwięcej, że przyrzeka Pani wzamian pisywać do mnie często, a nawet przesyłać wierszyki. Bardzo się cieszę, Droga „Karino", z tej miłej zapowiedzi.

W swoim pierwszym liściku do „Krainy" przesyła Pani pozdrowienia: „Czarnulce z Grudziądza" — „Tęsknocie z Działdowa" — „Lazurowi" i „Leszkowi z Zielonej Doliny". Mam nadzieję, że wymienieni wyżej Sympatycy nietylko ucieszą się z pozdrowień, ale i odpowiedzą może na nie listem?

Teczka Wujka Janusza

PROSZĘ SIĘ POPRAWIĆ

„Płacząca Brzoza". „...Moja głowa za to pusta, buzia tłuszczem umazana, no i lekcja zmarnowana"... oto wyjątek z wierszyka Pani pod tytułem: „Śniadanie w szkole". W wierszu tym, który jest zresztą dość gładki, zrobiła Pani jakby rachunek sumienia. Istotnie, lekcje w szkole musiały nieraz pójść na marne, skoro pisze Pani „chociaż" przez samo „n". Zdążyłem także zauważyć, że z ortografją u Pani gorzej, jak z układaniem wierszyków. Proszę więc niech Pani kładzie zawsze nacisk na pisownię, gdyż nic mnie tak nie wyprowadza z równowagi, jak rażące błędy w utworach poetyckich.

Z nadesłanych ostatnio przez Panią wierszyków wybrałem do druku jeden: „W pogodną noc". Zamieszczam go niżej.

Na zakończenie odpowiedzi proszę przyjąć ode mnie szczery, przyjacielski uścisk dłoni.

W POGODNĄ NOC...

U nas tak pięknie jest pogodną nocą,
Gdy księżyc świeci i gwiazdy migocą,
Że człowiek, gdzieś w dal chciałby iść bez celu —
W jakiejś zadumie i w szczęścia weselu.
Radby się przejść w ciemne głębiny boru.
Albo nad brzegi pięknego jeziora
Pójść gwiazdy złote podglądać w pomroce,
W te cudne, ciche i pogodne noce.

„Płacząca Brzoza".

TAK NIE MOŻNA

„Wesoła Irutka". Droga Pani! w teczce mojej nagromadziło się tyle materjału, że w żaden sposób nie mogę dawać odpowiedzi na listy moich Sympatyków, tak, jakbym tego pragnął. Jestem zmuszony zamieszczać je kolejno i w miarę ilości miejsca w każdym poszczególnym numerze „Moich Powieści". Tak samo przedstawia się sprawa i z zamieszczeniem wierszyków. Po oświadczeniu powyższego, mam wrażenie, że nie będzie Pani miała już żalu do mnie, że nieraz zwlekam z przedrukowaniem wierszy. A propos utworów Pani, stwierdziłem, że niektóre myśli do wierszy pożycza sobie Pani nawet od znanych autorów. Smutne, lecz prawdziwe! Tak nie można, Droga Panno „Irutko"! Proszę pracować samodzielnie, gdyż inaczej stracę do Pani całe zaufanie, jakie obecnie żywię. Równocześnie zaznaczam, że wierszyka Pani, w którym odkryję naśladownictwa, choćby w jednem zdaniu — nie umieszczę.

Serdecznie pozdrawiam i oczekuję znowu nowych wiadomości od Pani.

DZIĘKUJĘ!

„Czarna Perła". Wierszyki Pani: „Na szarych życia rozłogach"... i: „Lubię" są śliczne. Pierwszy zamieszczam dzisiaj, a drugi odkładam do teczki, gdyż narazie jest nieaktualny. Proszę bardzo o częstsze zasilanie mej „Teczki" i jak najuprzejmiej dziękuję Pani za życzenie noworoczne.

NA SZARYCH ŻYCIA ROZŁOGACH

Zinkowi Bojarskiemu poświęcam.

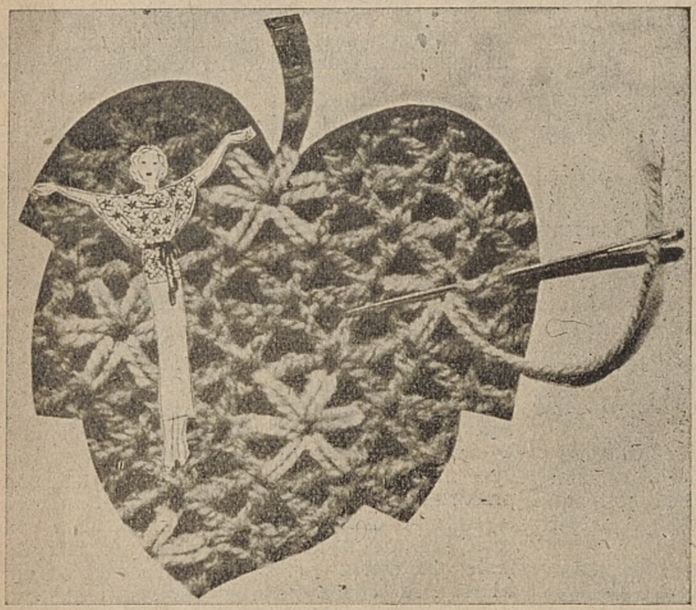
Na szarych życia rozłogach
Spotkały się nasze dusze
I odtąd po różnych drogach
Pójdą już razem w nieznane...
Na szarych życia rozłogach...

I pójdą razem w nieznane
Marzone, tajemne światy —
Czy gradem nieszczęść smagane,
Czy zdobne w laury i kwiaty...
I pójdą razem w nieznane...

Na szarych życia rozłogach
Pójdą promyki rozświecać.
Pójdą po cierniach i głogach,
By z iskier ognie rozniecać...
Na szarych życia rozłogach...

„Czarna Perła".

Raj kobiet



Ściegi na sweterki



Zimowe wieczory w pełni. Między innemi, zajmijmy się w czasie nich i robótkami szydełkowemi. Zróbmy sobie śliczny sweterek, szalik lub sukienkę dla małej dziewczynki. Podane dzisiaj wzory ściegów szydełkowych są dość łatwe i przytem ładne i szczególnie nadawają się na sweterki. Zaopatrzmy się więc w włóczkę i szydełko i zabierzmy do pracy.

RADY PRAKTYCZNE

.. *Zamarznięte szyby* łatwo się obmywają mocno posoloną wodą, pod którą znikają desenie i kwiaty utworzone przez silny mróz.

.. *Mosiężne przedmioty* czyszczą się domowemi taniemi środkami, jak: kwasem z kiszonej kapusty zmięszanym z popiołem z węgli drzewnych, gliną rozrobioną z wodą i ze spirytusem, a także salmiakiem w płynie.

..*Pozłacane przedmioty* czyści się w ten sposób, że wlewa się do miski trochę salmiaku, a potem gorącej wody i w tym roztworze zanurza na małą chwilę przedmiot, który się następnie osusza miękkim gałgankiem i wyciera małą ilością tlenniku żelaza czyli kolkotaru.

Ze świata

Ze złodzieja — literatem

Z polecenia Stalina w mieście Gorkij (Niżnij Nowogród), w którem zamieszkuje większość wybitnych sowieckich literatów i artystów, przystąpiono do budowy pięknego pałacyku, który w dniu 1 maja br. ofiarowany ma być przez rząd sowiecki głośnemu pisarzowi Awdiejence.

Karjera Awdiejenki jest bardzo świeżej daty i bardzo niezwykła.

Przed kilku zaledwie laty był on hersztem niebezpiecznej szajki złodziejskiej, grasującej w Moskwie i okolicy. Szajka ta składała się z bezdomnych włóczęgów, ludzi wykolejonych i nie mających nic do stracenia.

Aresztowany pewnego razu, Awdiejenko zwrócił na siebie uwagę jako chłopak przystojny i zdradzający dużą wrodzoną inteligencję. Spróbowano go więc nawrócić z drogi występku i przyjęto go do jednej z moskiewskich fabryk metalurgicznych.

Pracując zawodowo Awdiejenko zainteresował się szczególnie teatrem i literaturą, rezultatem czego była napisana przezeń książka pod tyt. „Ja kocham", poświęcona znanej moskiewskiej artystce dramatycznej Chochłowej.

Dzieło to samouka, który spróbował chwycić za pióro, zdobyło odrazu niebywałą popularność. W Rosji sowieckiej książka Awdiejenki rozeszła się w nakładzie półtora miljona egzemplarzy, a przetłumaczona została na 12 języków obcych.

Obecnie Awdiejenko zaliczany jest do elity pisarzy sowieckich, a dla uczczenia jego zasług w literaturze Stalin podniósł myśl ofiarowania mu na własność pięknego domku, do którego Awdiejenko wprowadzi się w dniu 1 maja br. wraz ze swą żoną — artystką Chochłową.

Na ciekawe audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 19 stycznia 1936 r.

9.00 Audycja poranna 10.30 Transmisja nabożeństwa z Warszawy 12.03 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny z Łodzi. W przerwie poranku o godz. 13.00 — Teatr Wyobraźni: fragm. słuch. „Fantazy, czyli Nowela Dejanira" z dramatu Jul. Słowackiego. 14.00 „Pomyłki" — nowela Stefana Żeromskiego 14.25 Muzyka salonowa 15.00 Godzina rolnika 16.00 „Łamigłówki" dla dzieci 16.15 Kwintet Arkadjusza Flato 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Muzyka taneczna 17.40 „Migawki regjonalne" z Poznania 18.00 Suita taneczna — T. Blumer 18.30 Słuchowisko oryginalne pt. „Rekin" T. Sygietyńskiego i J. Waldena 19.40 Wiadomości sportowe 19.45 Co czytać 20.00 Koncert solistów 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 21.30 „Podróżujmy": „Rumunja à la fourchette" — felj. 21.45 Wiadomości sportowe 22.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 20 stycznia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Muzyka salonowa 13.25 Chwilka gosp. domowego 15.15 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Piosenki w wyk. Olgi Obarskiej 16.00 Lekcja jęz. niemieckiego 16.15 Koncert zespołu Pawła Rynasa 16.45 „Pies" — skecz Ant. Czechowa 17.00 „Gospodarstwo domowe a przemysł" — pog. 17.15 „Minuta poezji" — wiersze Or-Ota o Warszawie 17.20 Recital skrzypcowy Stelli Dortheimer 17.50 Żywe spadochrony — pogadanka 18.00 Recital fortepjanowy L. Ginzburga 18.30 Piosenki dla dzieci — odśpiewają „te 4-ry" 18.45 Życie kulturalne i artystyczne stolicy 19.00 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Audycja żołnierska 20.30 Drobne utwory w transkrypcji na alt-saxofon w wykon. M. Mule 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współcz. 21.00 Koncert Orkiestry 58 pp. pod dyr. kpt. Chmielowicza (z Poznania) 21.30 Wieczór literacki poświęc. W. Sieroszewskiemu 22.00 Koncert symfoniczny 23.05 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 21 stycznia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 8.10 Transmisja z Generalnej Dyrekcji Loterji Państw. z ciągnienia głównej wygranej 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół — „Legenda o mysz.króliku" 12.30 „1000 taktów muzyki" — w wyk. zespołu Rachonia 13.25 Chwilka gosp. domowego 15.30 Muzyka operetkowa 16.00 Skrzynka P.K.O. 16.15 Pieśni amerykańskie w wyk. Franki Ricci 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Wielkie i drobne wynalazki 17.15 Płyty dla znawców 17.50 Encyklopedja mówiona 18.00 Recital fortepj. 18.30 Dusza pisarza i rok 1863 — szkic literacki 18.55 Co boli rolników — pog. 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Monolog 20.10 Koncert Chóru Dana 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współcz. 21.00 Koncert 22.00 Kwartet smyczkowy d-moll — Schuberta 22.30 Dzisiejszy stan nauki o witaminach — odczyt dla lekarzy 22.45 Uniwersytety i wyższe uczelnie polskie — odczyt w jęz. esp. 23.05 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 22 stycznia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Kosmetyka a uszkodzenie skóry — pogadanka 12.30 Koncert Orkiestry Tad. Seredyńskiego 13.25 Chwilka gosp. domowego 15.30 Pieśni w wyk. Ryszarda Crecksa 16.00 „Wędrówki dookoła globu" — aud. dla dzieci 16.20 Duety wokalne 16.45 Rozmowa muzyka ze słuch. radja 17.00 „Ceny sprawiedliwe" — z cyklu „Dyskutujmy" 17.20 Suity ze starych oper w wyk. zespołu Niny Mańskiej 17.50 Świat się śmieje 18.00 Koncert kameralny 18.30 Skrzynka ogólna 18.55 Porady weterynaryjne 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Reportaż aktualny 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współcz. 21.00 „Twórczość Fryd. Chopina" — 21-sza aud. z cyklu radjowego 21.35 O twórczości powieściowej — szkic literacki
21.50 Zamieniamy towar — pog. dla kupców 22.00 Koncert poświęc. twórczości Wl. Zeleńskiego 22.40 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 23 stycznia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powsz. 13.00 Edward Grieg i Sonata Skrzypcowa (Kreisler i Rubinstein) 13.25 Chwilka gosp. domowego 15.30 Muzyka taneczna 16.00 Gadaninka Starego Doktora 16.15 Muzyka popularna 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 O drogach samokształcenia — odczyt 17.15 Sekstet salonowy Józefa Stena 17.50 O zbiorze listów z przed stu laty — odczyt z cyklu „Książka i wiedza" 18.00 Recital fortep. Felicji Blumenthal 18.30 Film, plastyka, architektura 18.55 Pogadanka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogad. aktualna 20.00 Kwintet H. Golda i A. Aston 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrona przeciwlotniczo gazowa — pog. 21.00 „Historja o żołnierzu" C. F. Ramuza — słuch. 22.00 Nasze pieśni 22.25 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 24 stycznia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.40 Potpourri operetkowe 13.25 Chwilka gosp. domowego 15.30 Mieczysław Fogg w swoim repertuarze 16.00 Pogadanka dla chorych 16.15 Koncert orkiestry Tad. Seredyńskiego 16.45 Chwilka pytań — pogad. dla dzieci starszych 17.00 W pracowni archiwalnej — reportaż 17.15 Minuta poezji 17.20 Recital śpiewaczy Stefanji Millerowej 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Rapsodja na sakxofon, trąbkę, skrzypce i fortepian 18.30 Pog. aktualna 18.40 Pogadanka społeczna 18.55 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Komunikat śniegowy 19.50 Biuro studjów rozmawia ze słuchaczami 20.00 Koncert symfoniczny w przerwie około godz. 20.50 Dziennik wieczorny, oraz Obrazki z Polski współcz. 22.30 Skrzynka techniczna 22.45 Muzyka taneczna z kawiarni „Cafe Club".

Sobota, dnia 25 stycznia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Przegląd wydawnictw rolniczych 13.00 Z oper Winc. Belliniego 13.25 Chwilka gosp. domowego 14.30 Dwa fortepiany: Leon Boruński i Karol Gimpel 15.00 „Jak Orzeszkowa przewiozła Traugutta" opowiadanie 15.15 Nasz handel morski 15.30 „Po jednej piosence" 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.15 „Brawo! Mamy gości" — słuchowisko dla dzieci 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Z sekretów stolicy reportaż 17.15 Nowości z płyt 17.45 Świat naszych zwierząt — pogadanka 17.50 „Sztabin miasto, które żyje legendą" — pogadanka 18.99 Koncert solistów 18.40 Przegląd wydawnictw 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Sabat oper. lekka audycja muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współcz. 21.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 21.30 Kukułka Wileńska 22.00 Recital śpiewaczy Ewy Bandrowskiej-Turskiej 22.40 Muzyka taneczna.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 71)

Cyniczny śmiech nędznika był całą odpowiedzią na te słowa, złowrogie przeczucie powstało w duszy Anielci.

„Boże Wszechmocny!“ krzyknęła Anielcia, cofając się, „pan nie jesteś kapitanem, — ten uniform to tylko maska, — precz ode mnie, nędzny, przeczuwam, kim pan jesteś!“

Anielcia chciała się rzucić naprzód, lecz w tej samej chwili mężczyzna ujął ją za ręce, przyciągnął do siebie i zawołał:

„Lady Elżbieto, przeczuwasz więc, kim jestem, — muszę przyznać, pani posiada wyśmienity dar kombinowania. Jakto pani wiadomo, jestem lekarzem dla umysłowo chorych. Śledziłem panią, by ją uchronić przed nierozważnym krokiem; krewni, którzy panią tak bardzo kochają, wysłali mię, a zwłaszcza mister Ralf, stryj pani, — haha, napróżno oczy pani ciskają błyskawice, zaciskanie zębów także nic nie pomoże, spróbuj pani wydrzeć się z moich rąk a zrobię cię nieszkodliwą, lady Elżbieto, pani jesteś obłąkaną, — szaloną, — warjatką, — ja zaś jestem doktorem Morizano, specjalistą od chorób umysłowych!“

Kolana zachwiały się pod Anielcią; lecz nie słowa łotra odebrały jej całą otuchę i odwagę, ile raczej nazwisko, to straszne nazwisko Morizano, które pozbawiło ją przytomności i podcięło jej oporność, jak ostra kosa przecina źdźbło słomy.

Morizano! — Gdyby spotkała się z tygrysem, patrzałaby bez trwogi w jego oczy, gdyby na oddalonej ulicy jednej ze stolic świata wpadła w ręce zbrodniarza, to miałaby większą nadzieję, że ocali życie, aniżeli znajdując się z tym człowiekiem, który już raz o mało co nie wtrącił ją w przepaść, — ten nędznik, który zniszczył umysł jej ukochanej matce i wtrącił ją wreszcie do grobu po długich cierpieniach.

„Doktór Morizano“, wyszeptała Anielcia, spoglądając na szubrawca szeroko rozwartemi oczyma, w których malowała się bezbrzeżna trwoga, „w takim razie jestem stracona!“

„Tak jest“, zawołał Morizano i w tej samej chwili spadł jakiś czarny przedmiot na twarz Anielci; wprawdzie obróciła się na stronę, przeczuwając instynktowo niebezpieczeństwo, które jej groziło, ale już było zapóźno, — czarny plaster przelepił się na jej wargi, a Morizano przycisnął go jeszcze silniej swoją kościstą ręką, tak, że Anielcia była bliską omdlenia.

„Na pomoc!“ chciała wołać nieszczęśliwa, z jej ust jednak nie wydostał się żaden dźwięk, tylko ciężki oddech podnosił pierś biednej dziewczyny a z pod plastra wydobywało się głuche chrapanie.

Morizano przewrócił swoją ofiarę i w następnej sekundzie przycisnął kolanem ciało dziewczyny, wiążąc jej równocześnie ręce. W tym celu zabrał z Londynu stalowe kajdany, które zamykały się i otwierały z szaloną szybkością za przyciśnięciem ukrytej sprężyny. Po chwili Anielcia nie mogła poruszać więcej swojemi rękami.

„Poczekaj“, zaszemrał Morizano, „zobaczymy, co się ukrywa w twoich kieszeniach“, i przeszukał prędko kieszenie sukni, jednak nie znalazł w nich nic ważnego, ponieważ Anielcia przed udaniem się na spoczynek, złożyła na krzesełku w kajucie wszystkie te przedmioty, które zwykle nosiła ze sobą.

„Niema nic“, syknął Morizano rozczarowany, „haha, może znajdziemy co na piersi!“

Jego ręce pochwyciły za pierś nieszczęśliwej, chciał otworzyć suknię lecz w tej samej chwili wzdrygnęło się pod nim dziewicze ciało i rozpoczęła się ostatnia, straszna walka między podstępnym, złośliwym napastnikiem a jego ofiarą.

Morizano jednak brutalną siłą powalił na ziemię Anielcię, która się podniosła do połowy, — jednym ruchem rozpiął guziki bluzki a jego ręce zanurzyły się w przeczystą świętość dziewiczej piersi. Jak skąpiec, który przebiera w swoich skarbach, tak podobnie i Morizano z tą samą chucią wyjął portfel, spoczywający między alabastrowemi wzgórzami, który Elżbieta zawierzyła swojej przyjaciółce.

Doktór Morizano nie mógł oprzeć się pokusie, więc też natychmiast otworzył portfel i zbadał jego zawartość, — a na widok ważnych dokumentów, należących do Elżbiety, wydobył się z jego ust ochrypły okrzyk radości.

Nie miał jednak zbyt dużo czasu, na dokładne oglądnięcie wszystkich papierów, więc schował je pospiesznie razem z portfelem. Żadne pióro nie zdoła opisać tych cierpień, których doznawała Anielcia, widząc własność swojej przyjaciółki w rękach tego nędznika, — na chwilę zapomniała o własnej hańbie i własnem nieszczęściu, — ach, chciała rozerwać więzy krępujące jej ręce, zrzucić z warg ten wstrętny plaster, — niestety była bezsilną!

Szubrawiec obmyślił zanadto dobrze cały plan, — ręce były skute a usta nie mogły wydać ani jednego tonu.

Teraz nadeszła najstraszniejsza chwila. — Morizano pochylił się nad Anielcią, objął ją w ramiona i podniósł w górę.

Naprożno wydobywała resztki sił, by uwolnić się z jego rąk, — Morizano jednak jak na swój wiek miał jeszcze nadzwyczajną siłę.

Z szatańskiem uśmiechem wyniósł ją z kajuty kapitana.

Następnie przebiegnął długi korytarz, aż doszedł do małych drzwi, które otworzył uderzeniem nogi.

Tutaj prowadziły do wnętrza okrętu wąskie schody, po których doktór Morizano zniósł swoją ofiarę.

Był zmuszony iść powoli, gdyż schody były oświetlone tylko kilkoma słabo świecącemi lampami. Duszne powietrze uderzyło o twarz Anielci; zauważyła,



Włoski następca tronu, Umberto, został powołany z dwoma generałami dywizji na członka najwyższej rady wojennej.

że Morizano niesie ją na sam spód okrętu, jednak ciągle jeszcze nie mogła zdać sobie sprawy, gdzie ją właściwie chce zanieść. Przed chwilą spodziewała się, że ten łotr nie cofnie się przed morderstwem i zrzuci ją z pokładu, który był zupełnie opuszczony, w morskie fale.

Morizano zatrzymał się nagle przed drzwiami, które były okute żelazem.

Położył Anielcię, jednak tak, że musiała się wyciągnąć między jego stopami a ścianą, by mu przypadkiem nie uciekła, następnie wyjął klucz i otworzył drzwi:

„Haha, lady Elżbieto Ravington, jesteśmy w twojem przyszłem więzieniu!“ zawołał szubrawiec, „tutaj możesz rzucać się i krzyczeć, dopóki ci głosu starczy, dopóki nie umilkniesz ze zmęczenia, — a gdy przyjedziemy do Nowego Jorku, — wtedy rozstrzygnie się twój los, — jeżelibyś ulegał mojej woli, — ale o tem pomówimy jutro. — Dzisiaj zrobiłem aż nadto dużo, — zarobiłem dziesięć tysięcy funtów szterlingów, — książęcy majątek, — przynajmniej spędzę w spokoju i wśród wygód resztę mojego życia“.

Domawiając tych słów, pochylił się i wyjął małą flaszeczkę, — wylał z niej kilka kropli na twarz Anielci i odsunął z jej warg bez trudu plaster, nie chcąc narazić swojej ofiary na niebezpieczeństwo zaduszenia się. — Prócz tego nie potrzebował się obawiać, że ktoś tam w górze posłyszy jęki nieszczęśliwej. — Ta część okrętu była zupełnie opuszczoną, — tu i ówdzie leżały tylko potężne stosy towarów i okrętowy balast.

Doktór Morizano uwolnił Anielcię także i ze stalowych kajdan, ponieważ byłoby zupełnie bezcelowem trzymać ją dłużej skutą. Równocześnie jednak uchwycił ją za ręce i wepchnął całą siłą do wąskiego więzienia.

„Nędzniku, — morderco, — puść mię!“

„Cicho, moja gołąbko, obecnie jesteś w moich rękach!“

Jedno słowo było tylko w stanie powstrzymać go od wykonania tego podłego zamiaru, to jest, gdyby Anielcia wyjawiła mu, że nie jest Elżbietą Ravington, lecz zupełnie inną, — ta myśl jednak nie powstała ani na chwilę w jej głowie, — pragnęła przedewszystkiem ochronić swoją przyjaciółkę i zapewnić jej spokój i bezpieczeństwo, dlatego przyjęła za Elżbietę to męczeństwo, które jej zgotował Morizano.

Była już w celi, lekarz chciał odejść, gdy nagle Anielcia postanowiła spróbować, czyby się nie udało wzruszyć jego serca, — zamiar, który uważała z góry za daremny.

„Łaski!“ zawołała, „ja jestem jeszcze tak młodą, — litości!“

„Łaski? — Zapomina się zupełnie, co to znaczy łaska lub litość, jeżeli można zarobić dziesięć tysięcy funtów szterlingów“, odparł doktór Morizano z cynicznym uśmiechem.

Po chwili zamknęły się drzwi z łoskotem, — Anielcia słyszała, jak klucz obrócił się dwa razy w zamku.

Uwięziona upadła na ziemię z głuchym łoskotem.

Morizano odetchnął z widocznem ulżeniem, skończywszy swoje zbrodnicze dzieło, — kosztowało go dużo trudu, zanim opanował tą młodą, silną dziewczyną, teraz jednak sprawa była wygrana, — ofiara nie mogła mu się więcej wymknąć.

Obejrzał się podejrzliwie na wszystkie strony, jak każdy zresztą zbrodniarz, jakby chciał się upewnić, że go nikt nie widział.

Nie, — nie było nikogo, dokoła panowała cisza, — tylko szczury przemykały się i znikały szybko za wysokimi stosami towarów.

„Haha, szczury nie będą się przynajmniej teraz nudzić!“ zawołał doktór Morizano, „mają jako towarzyszkę uroczą dziewczynę, — bawcie się z nią, małe ogoniaste potwory, skracajcie jej czas, wspinajcie się na nią, napawajcie ją odrazą, — ona jest lady i miljonerką, — więc szczury zważajcie na to i obchodźcie się z nią grzecznie i uprzejmie!“

Mówił głośno, tak, że uwięziona musiała słyszeć jego słowa tchnące gorzką, gryzącą ironią.

Po chwili opuścił to nieprzyjemne miejsce, doznawał bowiem uczucia strachu, słysząc, jak fale uderzały głucho o ściany okrętu, jakby chciały je przełamać, wlać się w ten drewniany pływający dom i zatopić w swoich nurtach ukrywającego się na nim przestępcę.

Doktór Morizano wybiegł co tchu na schody, — przeskakiwał na raz po kilka stopni, nie oglądając się poza siebie.

W tej samej chwili, gdy wydostał się na górę, ukazała się nagle z za towarów jakaś głowa, a para przebiegłych oczu skierowała się w stronę uciekającego.

Następnie wyłoniła się cała postać i przebiegła stosy towarów z małpią zwinnością; zatrzymała się dopiero w



Napewno każdy pomyśli, że śliczne dziewczęta na naszem zdjęciu, to kandydatki konkursu na piękne nóżki? A jednak nie!... są to uczestniczki ameryk. konkursu na najpiękniejsze oczy.

środkowym korytarzu dolnych części statku.

Był więc ktoś przecież świadkiem zbrodni doktora Morizano, istniała ludzka istota, która obserwowała zbrodniczy czyn nędznika, a był nią biedny żyd. — Bóg posługuje się często dziwnemi drogami. Ów świadek, którego oczom nic nie uszło a który, w czasie gdy doktór Morizano zamknął w celi Anielcię, — drżąc z trwogi ukrył się za towarami, by jak się wyraził nie został również zamknięty w ciemnej dziurze przez strasznego, gwałtownego mężczyznę, — nie był kim innym jak żydem Chaimem Stieglicem.

CV.

Wśród burzy i wichrów

Elżbieta czekała napróżno na powrót Anielci, — w myśli towarzyszyła przyjaciółce na jej ciężkiej drodze, którą obrała w jej zastępstwie. Nie mogła wytrzymać na łóżku, wstała i ubrała się.

Przeszedł kwadrans, — Anielcia nie wracała. — Rozmowa trwała prawdopodobnie dłużej, aniżeli przeczuwała jej przyjaciółka. — Elżbieta uważała to za zupełnie naturalne, sądząc, że Anielcia opowiada kapitanowi jej historję, która znowu nie była tak krótką.

Elżbieta czekała; minęło pół godziny, a mimo to nie było słychać lekkich kroków młodej dziewczyny.

Nagle ogarnął Elżbietę dziwny niepokój, — czekała jeszcze drugie pół godziny, dłużej jednak nie mogła wysiedzieć w kajucie.

Wyszła na korytarz, nasłuchiwała i wpatrywała się, czy nie zobaczy postaci Anielci.

Nikt nie nadchodził. Cały okręt był jak wymarły, gdyż wszyscy pasażerowie udali się już dawno na spoczynek.

Święty Boże, gdzie była Anielcia, co się z nią stało, — to było niemożliwe by ją kapitan zatrzymał tak długo u siebie?

Elżbieta przeszła korytarz, szukała, wyglądała, badała, — napróżno, Anielci nie było widać. — Ach, może wyszła na pokład, by zaczerpnąć jeszcze świeżego powietrza, — tak, i młoda lady wstąpiła natychmiast na schody, prowadzące na pokład.

Tam jednak panowała ciemność i cisza, — tylko na maszcie wisiała latarnia, rzucająca słabe światło na najbliższe otoczenie, a w drewnianej budce koło kotwicy, siedziało dwóch marynarzy, którzy trzymali prawdopodobnie wartę, — obaj rozmawiali cichym głosem.

Elżbieta zbliżyła się do nich i zapytała, czy nie widzieli jednej młodej damy. Marynarze zaprzeczyli pytanie, — nikogo nie widzieli.

Elżbieta udała się w stronę schodów, — z każdą chwilą była coraz bardziej niespokojną o przyjaciółkę, a tembardziej dokuczała jej ta myśl, że Anielcia udała się do kapitana w jej zastępstwie. — Może spotkało ją tam jakie nieszczęście!

„Nie, nie przyjmę tej ofiary,“ zawołała Elżbieta, „jeżeli jej się rzeczywiście coś przytrafiło, to oświadczę otwarcie kapitanowi, że to ja jestem Elżbietą Flower. A jeżeli zechce słuchać, to oświadczę mu jeszcze: nazywam się lady Ravington!“

W tej chwili przestraszyła się Elżbieta, gdyż nagle wyłoniła się jakaś postać, otulona gumowym płaszczem.

Elżbieta wzdrygnęła się, chciała wyminąć ową postać, równocześnie opadł jednak kaptur, zakrywający jej twarz, a o uszy odbił się znany głos: „Dlaczego uciekła pani przedemną!?“

Przed nią stał Marceli Remy.

Marceli, którego kochała potajemnie, z którego obrazem w sercu chciała właś nie zasnąć, gdy przyszedł posłaniec kapitana.

Och, że właśnie teraz, poruszona do głębi musiała go spotkać!

Młody porucznik, zbliżając się do pięknej dziewczyny, przemówił:

„Pani ma słuszność, — w kajucie jest za duszno, tutaj można się trochę ochłodzić, a gdy później idzie się na spoczynek, to się przynajmniej niema przykrych snów. — Cóż ja mówię o przykrych snach, — to niemożliwe, by takie sny nawiedzały panią!“

„A to dlaczego?“ zapytała Elżbieta bezmyślnie, wymawiając te słowa, ot tak byle tylko coś powiedzieć.

„Sądzę“, odparł młody porucznik z uśmiechem, „że taka młoda piękna dama cieszy się zawsze przyjemnemi snami.

„Boże, co się stało, — pani jesteś tak zmienioną i bladą, — mogę być w czem pomocny, — może spotkało panią coś nieprzyjemnego?“

Tak, — on jeden mógł jej dopomóc; Elżbieta była przekonaną, że powinna błogosławić to spotkanie z młodym oficerem.

Chciała mu się zwierzyć i spytać go, gdzie się znajduje Anielcia, on przecież musiał wiedzieć o wszystkiem i z pewnością objaśni ją, dlaczego Anielcia pozostawała tak długo w kajucie kapitana.

„Panie Remy“, zawołała Elżbieta, krzyżując ręce na swej dziewiczej piersi, „mam wielką troskę“.

„Panno Elżbieto, to niemożebne, mojem zdaniem nawet delikatny wietrzyk nie powinien zamącić zwierciadła duszy pani“.

„Mimo to jestem bliską rozpaczy‘, mówiła dalej Elżbieta i opowiedziała młodemu porucznikowi, że Anielcia, którą późno w nocy zawołano do kapitana, dotychczas nie wróciła.

„To jest rzeczywiście dziwne“, zawołał Remy, „jeżeli jednak rozchodzi się o naszego kapitana, to niech pani będzie zupełnie spokojną. Na całym świecie trudno znaleźć lepszego człowieka“.

„Moja przyjaciółka jednak nie wróciła, — obawiam się czy nie stało się jej coś złego; ach, panie Remy, jeżeli możliwe jest panu rzucić przynajmniej jedno spojrzenie do kapitańskiej kajuty, będę panu wdzięczna z całego serca. Niech się skończy już raz ta niepewność“.

Remy spoglądał z pewnem zakłopotaniem.

„Chętnie spełniłbym życzenie pani, niestety nie mogę wejść do kapitana bez przyczyny, muszę czekać, aż mię zawoła, lecz patrz pani, — niebo nam sprzyja. Widzi pani te czarne chmury, które zbierają się na horyzoncie i zasłaniają jasne gwiazdy, to zły znak dla nas, teraz jednak jestem z nich zadowolony, ponieważ mam sposobność, zameldować kapitanowi nie cierpiącą zwłoki wiadomość.



Niezwykłym podarunkiem noworocznym obdarzył los niemieckiego stolarza Zimmerleina, mieszkającego w Küps w Bawarji. Żona jego powiła w noc sylwestrową czworaczki — same dziewczynki. Oto szczęśliwa matka i córki: Eryka, Małgorzata, Henryka i Anna — Marja.

„Przy tej sposobności zobaczę, czy Anielcia znajduje się u niego, względnie zapytam się go wprost o to“.

„O, panie Remy, idź pan, — nie zapomnę nigdy panu tej usługi.“

„Panno Elżbieto, nie warto o tem mówić“, odparł Remy i oddalił się szybko.

Gdyby był zobaczył palący wzrok Elżbiety, to otrzymałby pewnie zaraz nagrodę za swoją rycerskość; w tym wzroku leżało tyle miłości, tyle namiętnego uczucia, jakie może oddać tylko spojrzenie dziewczyny, która kocha pierwszą miłością.

Elżbieta chodziła niecierpliwie po pokładzie i spoglądała ku chmurom. Rzeczywiście, czarne bałwany wyglądały złowrogo, zwieszały się aż do fal, które hen w dali zdawały się łączyć z niemi. Morze było niespokojne, fale wzrosły do olbrzymiej wielkości, a kołysanie okrętu dawało się coraz bardziej odczuwać.

Elżbieta zobaczyła w budce sternika Jana Klasa, siedzącego nad sterem; twarz starego spoważniała, oglądał z wytężoną uwagą swoje żeglarskie instrumenta, a zwłaszcza barometr zdawał się go niepokoić. — Prawdopodobnie opadł znacznie w ciągu ostatnich godzin. Dotychczas panowała jednak jeszcze głęboka cisza na całym okręcie, pasażerowie spali nie przeczuwając, że nadchodzi burza. Elżbieta nie zwracała również zbyt wielkiej uwagi na niebo i na morze, jej dusza była ciągle przy Anielci i z drżącem sercem czekała na powrót młodego porucznika.

Powrócił po upływie dziesięciu minut.

„Pani myli się“, przemówił, „panna Anielcia nie znajduje się u kapitana, ani też nie kazał wcale jej wołać do siebie.“

„To niemożliwe“, zawołała Elżbieta przestraszona, „słyszałam na własne uszy, jak przyszedł posłaniec kapitana i zawezwał mię do naczelnika „Gloire de de France“. Anielcia postanowiła mię zastąpić, ponieważ byłam już w łóżku.“

„Pytałem kapitana, czy zawezwał pannę Elżbietę Flower; odpowiedział mi, że nie“.

„Bóg raczy wiedzieć, co się stało z Anielcią“, zawołała Elżbieta załamując ręce, „w takim razie muszę ją szukać, — kapitan musi się dowiedzieć, że nadużyto jego nazwiska, błagam pana —“

Nagle urwała Elżbieta, straszny wicher zamknął jej usta, fale morskie spiętrzyły się i rzuciły na bok okrętem. Elżbieta zatoczyła się i o mało nie upadła na ziemię, gdyby nie Remy, który wyciągnął rękę i powstrzymał ją od upadku.

Piękna dziewczyna, drżąc na całem ciele, sparła się na jego piersi.

Remy otoczył ją swojem objęciem i przycisnął silniej do siebie jej urocze, zarumienione oblicze.

„Burza nadchodzi!“ zawołał wzruszonym głosem, „jednak w mojej duszy szaleje stokroć potężniejsza burza, którą wzniecíłaś pani. Nie, nie uciekaj pani, teraz albo nigdy muszę ci wyjawić, jak bardzo pokochałem cię, Elżbieto. Moja najdroższa, o gdybym mógł cię tak zawsze trzymać, przez całe moje życie, — z pewnością nie troszczyłbym się o burze doczesnego bytu! Wierzaj mi pani, czuję że zdołałbym ją obronić w każdym wypadku. Jestem ubogi, dlatego nie mogę ofiarować pani świetnego losu przy moim boku, jednak jestem człowiekiem spełniającym każdy swój obowiązek i to napawa mię otuchą i nadzieją na przyszłość. Kto wie, może towarzystwo żeglugi, do którego należy ten okręt, zawierzy mi jeden ze swoich statków. — Droga Elżbieto, — mów, odpowiedz mi: Chcesz zostać moją żoną i jeździć pod moją flagą, czy fale miłości i morza mają nas nadal razem unosić?!“

Wiatr wył, gwizdał we wszystkich kierunkach świata, fale wznosiły się do niebywałej wysokości, woda przelewała się przez pokład, „Gloire de France“ tańczyła na falach, a czarne chmury podobne do potwornych, strasznych postaci wyprawiały djabelskie harce na ściemnionem niebie. Dokoła szalała cała natura, tylko na pokładzie „Gloire de France“ trzymała się w objęciach młodo odczuwali bliskości zniszczenia, które da para, zapominając o wzburzonych żywiołach i o niebezpieczeństwie. Nie zawisło nad ich głowami, upojeni czarem, spoglądali na siebie, nie wymawiając ani słowa.

Elżbieta nie odpowiedziała jeszcze na namiętne pytania młodego porucznika, nie potrzebowała jednak mówić, jej oczy zdradzały aż nadto wyraźnie, co się działo w głębi serca.

„Tak, kocham cię, chcę być twoja“, mówiły jej oczy i głowa ozdobiona jasnymi lokami pochyliła się na jego ramiona, — a z jej ust wyszedł cichy ton, który mimo wycia wichrów, obił się wyraźnie o uszy oficera:

„Marceli, kocham cię!“

„Elżbieto, — ukochana, — najdroższa!“

Pochylił twarz, przycisnął swoje wargi do jej ust, kładąc przeciągły, namiętny pocałunek na jej koralowych wargach.

„Niech mnie połknie pierwszy lepszy wieloryb i wypluje napowrót“, rozległ się za młodą parą ostry, lecz miłe brzmiący głos, „zerwał się wspaniały północno-zachodni wiatr, a ten tu stoi i całuje piękną dziewczynę jak opętany.“

Elżbieta chciała wydobyć się z objęć kochanka, gdyż nagle zobaczyła przed sobą sternika Klasa. Ten jednak machnął ręką i przemówił dobrotliwie:

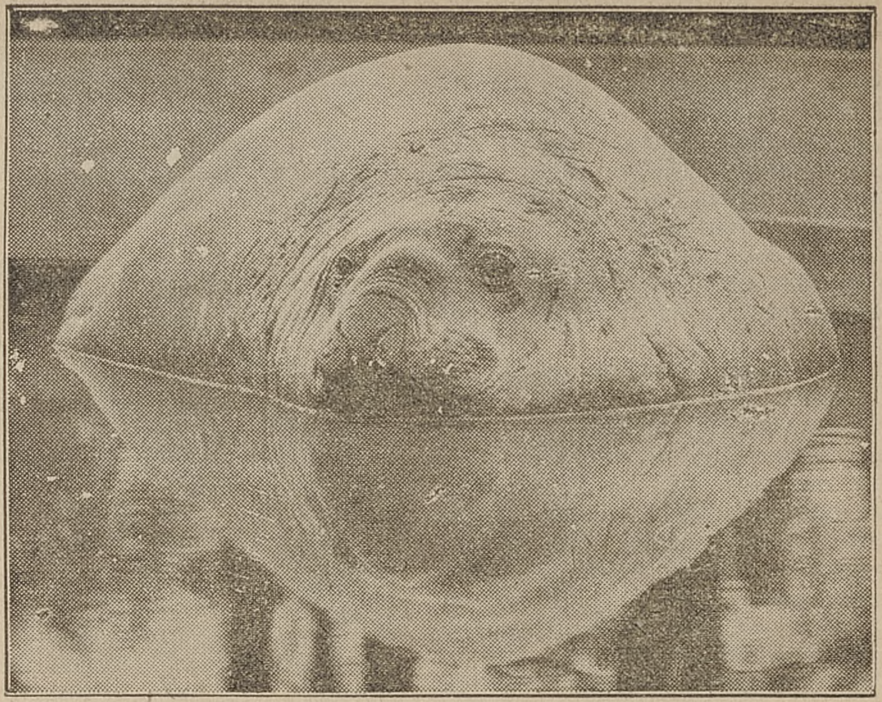
„No, no, pozostańcie tylko przy sobie, stary Jan Klas ręczy za tego młodzieńca, a jeżeli się kochacie, to naturalnie nie możecie się zbyt troszczyć o sędziwego Neptuna. Pozostawi wam jeszcze kilka minut, byście sobie mogli powiedzieć, to co wam leży na sercu, wprawdzie sam nie byłem nigdy w takiem djabelskiem położeniu, jestem jednak przekonany, że się ma dużo do powiedzenia. Gratuluję“, chciał dodać stary sternik, gdy nagle przelała się przez pokład tak potężna fala, że nasi trzej znajomi zaledwie zdołali utrzymać się na nogach.

„Co za bałwan z tego Neptuna“, zaklął Klas, strzepując wodę ze swego gumowego płaszcza, „nawet nie chce zezwolić, bym mógł spokojnie pogratulować mojemu najlepszemu przyjacielowi.

„Teraz jednak: każdy ma swoje stanowisko! Załoga na pokład, zamknąć wszystkie otwory i nie wypuszczać żadnego pasażera ze swojej kajuty!“

„Nie bój się, drogi skarbie“, rzekł do niej, „burza przejdzie, słońce zajaśnieje, poczem będę cię znowu trzymał w moich objęciach, o droga Elżbieto, teraz jednak woła mnie obowiązek, — spełnienie poważnej służby, dlatego muszę się z tobą rozłączyć.“

„Będę się za ciebie modlić“, odparła



Na pierwszy rzut oka, zwierzę uwidocznione na zdjęciu, wydaje nam się olbrzymią rybą, tymczasem jest to ogromny słoń morski, sfotografowany w berlińskim ogrodzie zoologicznym, podczas snu.

cicho Elżbieta, „a Bóg uchroni cię od od złego, lecz mów, — co się stało z Anielcią, mam bezczynnie założyć ręce?“

„Na okręcie nie mogło stać się jej nic niebezpiecznego“, zauważył Remy, „ale teraz niema czasu na szukanie Anielci, — jutro rano przedsięweźmę wszystkie kroki, które będą mogły wyjaśnić tą ciemną sprawę, tymczasem, żegnaj najdroższa!“

Jeszcze raz przycisnął swoje wargi do ust ukochanej dziewczyny, spojrzał w te czyste źrenice, poczem młoda Angielka zniknęła na schodach; Remy zaś stał jak oczarowany, dopóki widział jej piękną postać i dopiero głos starego sternika wyrwał go z rozkosznych snów.

„He, holla, chłopcze“, zawołał Jan Klas, „uważaj, — fale zmywają prześlicznie cały pokład, byś nie wpadł do morza, — zawołałem przez tubę, by cała banda przyszła natychmiast na górę, — ach, kapitan już jest na miejscu“.

Kapitan zjawił się, drugiemi drzwiami wchodzili na pokład marynarze i w pół minuty później zapanowało na nim gorączkowe życie. Tym marynarzom nie potrzeba mówić, że nadeszła poważna godzina, wystarczy jeden rzut oka na rozszalałe morze, a każdy już wie, że teraz musi spełnić swój obowiązek, jeżeli wszystko niema być straconem.

Kapitan wszedł na pomost, obok niego stanął Remy. Jan Klas udał się znowu do swego oszklonego domku i ujął silnie za ster; marynarze wdrapywali się na maszty i spełniali swoją robotę z odwagą i zwinnością, a kapitan od od czasu do czasu posyłał przez tubę swoje rozkazy do hali, w której się mieścił parowy kocioł.

Pasażerom było zabronione wychodzić na pokład, a każdy rozkaz wykonywano jak najciszej, by nie zbudzić śpiących. Po co, — dowiedzą się jeszcze zawcześnie, jak wielkie grozi im niebezpieczeństwo.

Na to zanosiło się. Morze huczało głucho, burza rzucała „Gloire de France“ jak piłką, olbrzymi okręt był podobny w tej chwili do łupiny z orzecha, pływającej na wzburzonych falach oceanu, — całe szczęście, że ster nie stracił swej władzy, mimo potężnych, strasznych fal, które w każdej chwili groziły porwaniem okrętu w bezdenną przepaść. Statek, drżąc we wszystkich swoich fugach i wiązaniach, wychodził dotychczas zwycięsko z każdego niebezpieczeństwa.

CVI.

Biedny żyd

Horyzont zaciemniał się coraz bardziej. Nad morzem zawisła nieprzenikniona czarna zasłona, tak, że pracujący marynarze nie widzieli nawet końca swoich rąk! Ponadto burza huczała tak straszliwie, że nie można było zrozumieć komendy kapitana.

Remy biegał na wszystkie strony z rozkazami komenderującego „Gloire de France“. Nie było to znowu tak zbyt łatwem, gdyż fale rzucały okrętem jak piłką, że na pokładzie nie można się utrzymać na nogach.

Młody oficer spełniał jednak wszystkie polecenia z energją, właściwą tylko marynarzom; i rzeczywiście wkrótce udało mu się przyprowadzić ład i porządek między pracującymi majtkami.

Nagle „Gloire de France“ doznała gwałtownego wstrząśnięcia, wszystko trzeszczało, jakby rozluźniły się spojenia, statek pochylił się na stronę, podniósł się znowu po chwili, dając unosić się falom jak postrzelona kaczka.

Lecz nie pruł więcej fal z taką siłą, jak przedtem. Potężny okręt krajał niegdyś nurty morskie jak ostrze piły, które przecina deski. Okręt robił wrażenie, jakby stracił wszystkie swoje siły. Klas wyszedł w tej chwili ze swojej budki. Jego dobrotliwe zwykle rysy tchnęły obecnie uroczystą powagą, wiatr zerwał mu z głowy czapkę i bawił się jego siwymi włosami.

Skierował swe kroki ku pomostowi kapitana i zawołał:

„Ster złamał się, — okręt jest narażony na ślepą igraszkę fal.“

Kapitan zbladł a i Remy przymknął oczy na chwilę.

Trzeba sobie tylko przedstawić położenie jeźdźca, ściganego przez stado wilków, który, zdany na szybkość swojego konia, zauważy nagle, że koń dobywa resztki sił; — z tem strasznem odkryciem znika dla niego ostatnia nadzieja możności uniknięcia kłów rozszalałych zwierząt.

A gdy marynarz posłyszy, że jego okręt stracił ster, to wie dobrze, że tylko cudem może uratować swoje życie.

Kapitan „Glcfre“ był jednak daleki od tego, by wydał piękny okręt na łup żywiołów. Przeciwnie, postanowił walczyć z rozhukanymi elementami aż do ostatka. Zarządził stosowne środki ostrożności na wypadek, gdyby okręt nie mógł się utrzymać na powierzchni morza.

„Przygotować łodzie ratunkowe“, zawołał na marynarzy.

Pod nadzorem drugiego porucznika pospuszczano łodzie, tak, że każdej chwili były gotowe do użytku.

„Remy“, rzekł kapitan, zwracając się do swojego pierwszego oficera, „przykro mi bardzo, że muszę powierzyć panu spełnienie przykrego obowiązku, niestety nie mam nikogo godniejszego od pana. Zejdź pan do kajut i oznajmij pasażerom, by się przygotowali na każdą ewentualność. Kładź pan głównie na to nacisk, by się nie obarczali niepotrzebnie i zabrali ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Możesz im pan także powiedzieć, by nie tracili zupełnie nadziei.“

Remy skłonił się milcząco.

Otrzymał rzeczywiście straszny rozkaz. W kajutach znajdowało się prawie dwieście pasażerów, na międzypokładzie czterysta i wszystkim tym ludziom miał ponieknd przynieść wyrok śmierci, miał im powiedzieć, że nadeszła ostatnia godzina, — oh, nikt jeszcze nie był obarczony tak strasznym rozkazem, a jednak, — musiał go spełnić.

Właściwie był wdzięczny za to kapitanowi, że go wybrał do zaniesienia tej wiadomości pasażerom, tak przynajmniej zobaczy się z Elżbietą i powie jej kilka słów pociechy.

Niebezpieczne położenie okrętu, niezwykłe kołysanie, wycie wiatrów, troskliwe pozamykanie otworów i zakaz wychodzenia na pokład, — wszystko to nie uszło naturalnie uwadze pasażerów, przeciwnie, każdy z nich wiedział, że rozchodzi się tutaj o coś poważniejszego, aniżeli o zwykłą burzę. Wielu opuściło swoje kajuty i zabrawszy kosztowności udało się do dużego salonu; tam pocieszali się nawzajem i każdy starał się wyczytać ogrom niebezpieczeństwa z wybladłych rysów bliźniego.

Nagle pojawił się wśród nich Remy, a już jego samo ukazanie się spowodowało grobową ciszę, każdy bowiem wiedział, że Remy jako wysłaniec kapitana, ma coś ważnego do powiedzenia.

Zaledwie jednak Remy wywiązał się w oględny bardzo sposób ze swego obowiązku, zaledwie przygotował pasażerów na ostateczne niebezpieczeństwo, zapewniając ich równocześnie, że jeszcze nie jest wszystko stracone i że w danym razie zrobi się dla nich wszystko, co tylko leży w mocy kapitana i załogi, gdy nagle w salonie wybuchnął krzyk i płacz, zdradzający aż nadto wyraźnie ogólną rozpacz.

Nieszczęśliwi padali sobie w objęcia, płakali, trzymali się za ręce spoglądając bezmyślnie na siebie, kobiety mdlały, mężczyźni tulili rozpaczliwie dzieci, jakby chcieli mieć przynajmniej tą pewność, że zginą razem z najdroższemi istotami, — dookoła rozlegał się histeryczny, rozpaczliwy śmiech, mieszający się z dzikiemi przekleństwami i niespokojną modlitwą.

Remy powiódł okiem po ludziach, stojących obok niego, — nie zauważył jednak wśród nich Elżbiety, prawdopodobnie pozostała w kajucie.

Rzucił jeszcze kilka słów pociechy i chciał właśnie odejść, by zobaczyć się z kochanką, gdy nagle usłyszał krzyk, zgiełk, wycie, wyłamywanie drzwi, — pasażerowie trzeciej klasy wpadli z wystraszonemi twarzami jak dzika horda z rozwianym włosem, odziani w łachmany, z dziećmi na rękach, krzycząc i klnąc jak opętani.

Prawdopodobnie wyłamali zamknięte drzwi i tłoczyli się obecnie do salonu, tratując nogami urzędników, którzy ich chcieli powstrzymać.

„Nie chcemy umrzeć w tej klatce“, rozległy się dzikie głosy, „pozostaniemy tutaj, gdzie się znajdują bogaci i wielcy, tak, teraz zniknęły różnice, wszyscy musimy umrzeć, — śmierć równa wszystkie stany.“

Zapanowało straszne zamięszanie, pasażerowie pierwszej i drugiej klasy cofali się z przerażeniem przed tą szaloną tłuszczą, na którą jeszcze wczoraj spoglądali z litością i pogardą.

W następnej chwili wzięto szturmem cały bufet, znajdujący się w salonie. Jedzenie i flaszki znikały w rękach pasażerów trzeciej klasy.

Remy nie stawiał im oporu, znał całą zgrozę położenia, i nie chciał odmówić nieszczęśliwym ostatniej uciechy; oddalił się z pomocą jednego służącego i odszukał kajutę Elżbiety.

„Koniec?“ zawołała młoda dziewczyna zupełnie spokojnym głosem, „przychodzisz pożegnać się ze mną.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)



W Garmisch-Partenkirchen odbywają treningi Ernst Baier (Berlin) i Maxi Herber (Monachjum). Mistrzowska ta para w jeździe figurowej na lodzie, weźmie także udział w Olimpjadzie sportowej w bież. roku w Berlinie.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Magiczny kwadrat
uł. „Velga“ z Głowna.

	1	2	3	4	5
1	A	A	A	A	A
2	A	B	E	E	K
3	K	K	N	N	N
4	O	O	O	O	R
5	R	R	R	W	Z

Znaczenie wyrazów: 1) Święta księga mahometan. 2) Budynek dla zwierząt rogatych. 3) Inaczej bruzda, zagłębienie. 4) Plac do popisów w cyrku. 5) Urzędowe zawiadomienie płatnicze.

Po nitce do kłębka.
uł. Wacław B. — Gniezno.

Dodając do jednej litery kolejno po 1 głosce, ułożyć pięć wyrazów według podanego znaczenia.

1. Prima w alfabecie.
2. W chemji znak ten znajdziecie.
3. Częścią Turcji rządzi przecie.
4. Półszlachetny kamień.
5. Imię żeńskie wszystkim znane.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dnia 24-go stycznia 1936 roku.

Rozwiązanie zadań z numeru 1. „Moich Powieści“. Szarada: Literatura. Zagadki: 1) Kotara. 2) Warkocz. 3) Kuropatwa.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Lucyna Pankówna — Głowno, „Czarny Olek“. Erazm Kolasiński — Pleszew. Anka Bugajówna — Horodenka. Karolina Walczakówna — Gdynia. Józef Rogalewski — Gdynia. Witold Wawrzynowicz — Poznań. Juljusz Rovski — Łódź.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Karolinie Walczakównie z Gdyni i Juljuszowi Rovskiemu z Łodzi.

NODPOWIEDZI REDAKCJI

WP. F. N. z Bielawek. Życzeniom Pana uczyniliśmy zadość. Za pozdrowienia dziękujemy i szczerze je odwzajemniamy.

HUMOR

W teatrze

Dyrektor teatru do nowej adeptki sztuki:
— A więc dobrze, zrobię próbę. Dziś zagra pani rolę Marji Stuart, tylko proszę, niech pani nie straci głowy!

Z litości

Żona: — Jeżeli ci tak obrzydłam, to czemu się ze mną nie rozwiedziesz?
Mąż: — To tylko przez litość dla tego, ktoby się po mnie z tobą ożenił...

Też pomysł

— Czy te cztery panny, które u pana mieszkają, to pańskie córki?
— Ale gdzie tam! To są córki mej siostry.
— A cóż one robią u pana?
— Ja je przyjąłem tylko w komis.

Z konieczności

— Janie, co to ma znaczyć?... Znów mi wyjąłeś dwa cygara z pudełka.
— Jaśnie panie, kiedy mi papierosy nie służą...

Pogrążyły się

— Jak ten czas biegnie! W przyszłym miesiącu skończę dwadzieścia dwa lata!
— A ja ośmnaście!
— Ależ Jula, nie reklamuj się tak bardzo. Przecież skończysz dwadzieścia pięć lat! Wszak jesteś odemnie tylko o rok młodszą!

Nawet u niego kryzys

Na ulicy stoi żebrak, zbliża się do niego młoda kobieta, daje mu jałmużnę i mówi:
— Ileż też pan zarabia przez cały dzień żebrząc? Czy rzeczywiście można z tego żyć?
— Dawniej tak — mówi żebrak — ale teraz czasy się pogorszyły i muszę trochę sam dokładać.

Dobre dzieci

— Więc konsyljarz naprawdę spędził dwa miesiące urlopu? A cóż pańscy pacjenci?
— Dobre dzieci. Nie chorują, gdy ich nie leczę.

W ostatniej jeszcze chwili

— Rzucam pani pas ratunkowy!
Tonąca: — Nie, nie! Rzuć się pan tu sam!

Mały materjalista

— Cobyś ty wolał: czy żebym była kwiatkiem, czy ptaszkiem — zapytała siostra braciszka. Na to braciszek po namyśle odpowiedział:
— Wolałbym, żebyś była ptaszkiem... bo ptaszka można zjeść.

Gdzie powód?

— Nie rozumiem, czemu nasza diva taka była zła po przedstawieniu? przecie otrzymała cztery wspaniałe kosze kwiatów.
— Tak, ale zapłaciła za pięć!

Wczoraj i dziś

Dawniej zastanawialiśmy się, co nam da Nowy Rok, obecnie staramy się odgadnąć, co nam zabierze Nowy Rok.

Biały zrobił swoje

Misję cywilizacyjną Włochów w Abisynji można właściwie uważać za skończoną: wybudowali szosy, zaprowadzili elektryczność, zniesili niewolnictwo... I dlatego też mogą obecnie wycofywać się z poczuciem spełnionego obowiązku.

Matka i dziecko

Pięcioletni Władzio siedzi przy stole nad arkusikiem papieru i pracowicie wywija p'órem.
— Cóż ty, Władziu, rysujesz?
— Konika!...
— A gdzie nogi?
— Jeszcze w kałamarzu!

Odpowiednio oszacował

Panna Irka dostała od krewnych pierścionek z brylantem. Z dumą pokazuje go znajomym.
— Ależ to nie jest prawdziwy brylant — mówi Kotek.
— Jakto nieprawdziwy? Czy pan się zna na brylantach?
— No, na brylantach się nie znam, ale zato znam się na krewnych!

Rozczarowanie

Pan mecenas powrócił z długiej podróży. Wszedł pośpiesznie do pokoju, czule objął swoją żonę i ucałował ją serdecznie.
— Widzisz kochana! — zawołał — zgoliłem sobie brodę. Jak ci się teraz podobam?
— Ach!... — zawołała pani mecenasowa — więc to ty jesteś?

Znak czasu

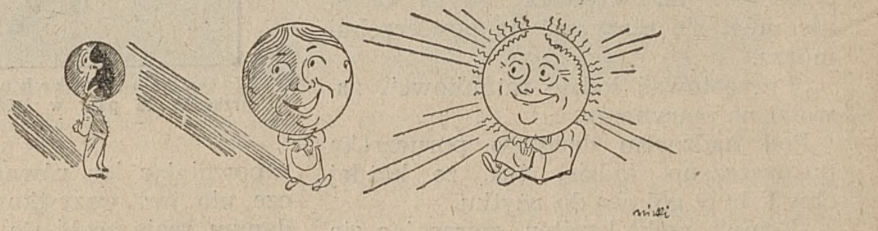
Do sklepu z zabawkami wchodzi pięcioletni chłopiec.
— Proszę pani — zwraca się do sprzedawczyni — czy mogę dostać ołowianych żołnierzy?
— Tak.
— A gazy trujące dla ołowianych żołnierzy?

Roztargnienie

Profesor Fajtłapski jest na balu. Podchodzi do jednej z pań.
— A witam kochaną panią doktorową...
— Przepraszam, pan profesor się myli... Nie jestem doktorową...
— Aha... Tak... Przepraszam... Myślałem, że to kto inny... Co słychać u kochanej pani?... Co szanowny małżonek porabia?...
— Pan profesor się myli... Nie jestem zamężną...
— Nie?... To pani mąż jest jeszcze kawalerem?!...

Nieład

Panna Amelja wyszła zamąż za hrabiego Pimpkowskiego i wybrała się w podróż poślubną do Włoch.
Onegdaj matka pani Amelji otrzymała od uszczęśliwionej córki długi list, z którego wyjmujemy następujące zwierzenia:
— „Mój mąż twierdzi, że jesteśmy w Medjolanie, przewodnik powiada, że to jest Florencja, a dziś zrana spotkaliśmy Klapsiewiczów, którzy zapewniają nas, że jesteśmy w Turynie... Oto macie dowód jaki nieład panuje we Włoszech"!



W ten mniejwięcej sposób przedstawia sobie karykaturzysta zaćmienie księżyca.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za doręczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8
Telefon 32
Rękopisów nie zwraca się.
P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy, szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.